Wincenty Kuć, „Pamiętnik”

opracowanie:

JAKUB ISAŃSKI

Instytut Socjologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

DOI: https://doi.org/10.26774/rzz.187

01/2017

ROCZNIK
ZIEM ZACHODNICH

Publikacja dostępna na licencji **Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe**. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorów. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jako właściciela praw do tekstu.

Pamiętnik[1] napisany został przez mieszkańca Wrocławia, szewca z wykształcenia i wykonywanego zawodu. Jego autorem jest Wincenty Kuć, urodzony w 1906 r. Pochodził on z wielodzietnej rodziny – miał czterech braci i cztery siostry; wszyscy bracia otrzymali wykształcenie zawodowe, natomiast córki zostały wydane za mąż bez wykształcenia. Rodzina od śmierci ojca w 1910 r. znalazła się na wyłącznym utrzymaniu matki, która podjęła pracę w fabryce w Warszawie, dokąd przeniosła się w związku z tym cała rodzina. Autor przedstawia szczegółowo swoje życie od czasów przedwojennych – zamieszkania w Warszawie i swojej politycznej aktywności w lewicowej organizacji cechu szewców, następnie swojego aresztowania przez Niemców w styczniu 1943 r., ucieczki z transportu do obozu (dzięki pomocy polskiego kolejarza), pobytu w Warszawie podczas Powstania Warszawskiego, przymusowego przesiedlenia do obozu pracy we Wrocławiu, późniejszej tułaczki i osiedlenia się na stałe we Wrocławiu powojennym. Opis kończy się na roku 1970. Rękopis liczy 23 strony.

Życie społeczne w dwudziestoleciu i podczas okupacji

Z relacji dowiadujemy się o radykalnych poglądach politycznych i czynnej działalności strajkowej autora w organizacjach lewicowych przed wojną. Dodać należy, że działalność ta, według jego relacji, często kończyła się aresztowaniem przez policję, co skutkowało problemami ze znalezieniem pracy i utrzymaniem rodziny. Wincenty Kuć z detalami opisywał w pamiętniku szczegóły przebiegu akcji strajkowych, podając informacje o problemach z prowadzeniem działalności związkowej i politycznej. Z opisu tego wyłania się obraz trudności polskiej gospodarki dwudziestolecia międzywojennego, wychodzącej z lat kryzysu ekonomicznego i tworzącej ekonomiczne podstawy funkcjonowania państwa, a także społecznego klimatu tamtych czasów – niepokojów, strajków i rozruchów, jakie wówczas istotnie wpływały na życie społeczne w Warszawie i w innych miastach Polski. Symboliczne zakończenie burzliwej młodości autora przypada na rok 1932, gdy udało mu się znaleźć stałą pracę w zawodzie szewca. Dalsze lata opisane są zdecydowanie bardziej lakonicznie, z kilku zaledwie akapitów na ten temat możemy jednak dowiedzieć się o wydarzeniach początku wojny i upadku Warszawy, obserwowanego z perspektywy cywilnego mieszkańca miasta (autor przebywał tam wtedy i – jak pisał – z powodu chaosu

1 Prezentowany materiał pochodzi z korpusu 1100 pamiętników nadsyłanych do Instytutu Zachodniego w Poznaniu w ramach konkursów ogłaszanych pomiędzy latami 1956 a 1970. Ich treść była dotąd, fragmentarycznie, wykorzystywana w wielu publikacjach naukowych (np. w publikacji pod red. Z. Dulczewskiego i A. Kwileckiego, *Pamiętniki osadników ziem odzyskanych*, Poznań 1963. Pamiętniki te pojawiają się także w wielu innych tekstach, por. np.: A. Kwilecki, *Z pogranicza socjologii i historii. Elementy warsztatu badawczego*, Poznań 2016; S. Lisiecki, J. Kubera, *Podpatrywanie miasta. Miasto w socjologii poznańskiej 1920–2000*, Poznań 2016). Niniejszy tekst przedstawia opracowanie treści wybranego pamiętnika pod kątem zmieniających się warunków życia społecznego osadników w powojennej Polsce. Przedstawiany pamiętnik, opatrzony numerem ewidencyjnym P601-294, nadesłany został na konkurs ogłoszony w 1970 r.; w cytowanych fragmentach zachowano pisownię oryginalną. Pamiętnik jest przykładem zapisu wspomnień zbieranych stosowaną w socjologii metodą autobiograficzną, autor wysyłał spisane przez samego siebie wspomnienia w odpowiedzi na konkurs zatytułowany „Pamiętnik osadnika Ziem Odzyskanych". Przedstawiony dalej tekst został skrócony dla potrzeb publikacji, cały tekst pamiętnika dostępny jest w Archiwum Ziem Zachodnich i Północnych Instytutu Zachodniego im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu.

nie zdążył nawet zostać zmobilizowany). Następnie opisana jest obrona miasta, którą, podobnie jak całą okupację, autor przeżył bez angażowania się w czynny opór czy też udział w jakichkolwiek instytucjach państwa podziemnego.

Autor opisał także udaną ucieczkę z transportu do obozu koncentracyjnego po przypadkowym aresztowaniu przez Niemców w łapance w styczniu 1943 r., ukrywaniu się ponownie w Warszawie. Przy tej okazji przedstawiona jest gehenna ludności cywilnej po upadku Powstania Warszawskiego. Warto jednak w tym miejscu zaznaczyć, że w pamiętniku nie znajdziemy żadnej szczegółowej informacji o samym Powstaniu, mimo iż Wincenty Kuć wspomina o udziale w nim swojego syna, który „należał do tajnej organizacji" – z treści pamiętnika nie dowiemy się jednak, o jaką organizację chodzi. Autor podał dalej też informacje o śmierci i pogrzebie swojego młodszego dziecka podczas przymusowego wysiedlenia z Warszawy po upadku Powstania (śmierć nastąpiła „z wycieńczenia") oraz okrucieństwach Niemców wyrządzanych cywilnej ludności miasta. Smutek opisu pogłębia jeszcze dodatkowo fakt nieznalezienia grobu dziecka po powrocie do Warszawy latem 1945 r. – grób został przeniesiony, wraz z innymi powojennymi mogiłami, do grobu zbiorowego na cmentarz komunalny bez poinformowania o tym fakcie rodzin i bliskich (zaznaczyć należy, że poinformowanie to w zdecydowanej większości wypadków nie było możliwe w pierwszych miesiącach powojennej zawieruchy i przemieszczeń ludności). Całość tych doświadczeń wpłynęła na podjęcie przez autora decyzji o ostatecznym opuszczeniu stolicy.

Powojenna tułaczka i osiedlenie się we Wrocławiu

Dalsza część pamiętnika to opisy powojennej tułaczki autora i jego ocalałej rodziny po Polsce – powrotu z obozu na terenie Wrocławia do zrujnowanej Warszawy, następnie dwutygodniowego pobytu u rodziny żony na wschodzie kraju. Wincenty Kuć i jego rodzina, nie otrzymali tam jednak spodziewanej pomocy lub też nie znalazł miejsca do zamieszkania (autor nie precyzuje tego w swoich wspomnieniach). Nie widząc dla siebie perspektyw, po dwóch tygodniach zdecydował się na dalszą ryzykowną podróż na zachód, zakończoną wreszcie przyjazdem wraz z rodziną do Wrocławia, i rozpoczęcie w tym mieście swojej powojennej egzystencji. Warto wspomnieć, że autor decyduje się na opuszczenie rodzinnej Warszawy po stracie całego majątku oraz śmierci dziecka, a za miejsce dogodne do zamieszkania uznaje Wrocław, miasto, które poznał podczas przymusowego pobytu w obozie pracy („w Burgweide") pod Wrocławiem, podczas ostatnich miesięcy wojny.

W pamiętniku można znaleźć bardzo interesujące spostrzeżenia o przybywających na Ziemie Odzyskane osadnikach z centralnej Polski. Według autora to oni byli największymi beneficjentami procesu powojennego osadnictwa na zachodzie, ponieważ wielu z nich przybywając na te tereny, pozostawiało swoje gospodarstwa w miejscach swojego pochodzenia, często przewożąc tam ruchomy majątek z zajmowanych domostw, a następnie także transferując zyski z upraw z otrzymanych na Ziemiach Odzyskanych działek do miejsca swojego stałego zamieszkania. Autor pamiętnika porównał warszawiaków, pozbawionych całego swojego dobytku w efekcie działań wojennych i przymusowego wysiedlenia ludności cywilnej po upadku

Powstania, z losami przesiedleńców z Kresów Wschodnich[2]. Według niego obie te grupy łączyła podobna niedola. Istotne jest również to, co nieczęsto zdarza się w relacjach pamiętnikarskich z tamtych czasów, że autor nie opisuje zasadniczych różnic czy też konfliktów pomiędzy tymi dwoma zbiorowościami[3].

Dbając o los pozostałego przy życiu syna, Wincenty Kuć polecił mu rozpoczęcie pracy w Straży Pożarnej. Na kolejnych stronach pamiętnika znajduje się szczegółowy opis osiedlenia się we Wrocławiu oraz czynnego udziału w odgruzowywaniu miasta i uruchamianiu zakładów przemysłowych. Z opisu tego dowiadujemy się wiele o trudnościach pierwszego okresu powojennego – niedostatkach towarzyszących mieszkańcom w pierwszych dniach ich codziennej egzystencji oraz bezprawiu tworzącemu warunki do szabrownictwa i rabunków. Kolejne opisy dotyczyły dalszej pracy zawodowej, przybywaniu do miasta kolejnych mieszkańców. Autor wspominając trudne warunki życia, pisze także o pomocy, jaką on sam i inni mieszkańcy miasta otrzymali wówczas w ramach działań UNRRA[4] na terenie Polski.

Warunki życia w mieszkaniu zajętym przez autora poprawiały się, pisząc jednak o nich w roku 1970, wspominał o zamieszkiwaniu w dwóch pokojach, ale nadal bez łazienki i ze wspólną toaletą na korytarzu budynku. Autor pamiętnika opisywał także podejmowane przez siebie próby zarówno uruchomienia prywatnego zakładu szewskiego, jak i udziału w organizowaniu cechu szewców we Wrocławiu. Wysiłki te zostały jednak przerwane w 1951 r. przez działania instytucjonalne – represje urzędników państwowych: kolejne kontrole, milicyjne przeszukania zakładu (z pamiętnika nie dowiadujemy się, co było ich przyczyną, być może sam autor nie był o tym informowany, napisał natomiast, iż przeszukania te kończyły się dewastacją jego zakładu pracy), podatkowe domiary i wreszcie upaństwowienie zakładu, przynoszące kres tej inicjatywie. Warto w tym miejscu zauważyć, iż, jak pisze Wincenty Kuć, pogarszający się dla działalności prywatnej klimat był także związany z nieprzychylnymi reakcjami społecznymi, które były kształtowane przez prasę i, szerzej, propagandę tamtych czasów – opisywane tutaj zdarzenia miały miejsce na przełomie lat 40. i 50. XX w., w ostatnich latach stalinizmu, toteż można mniemać, że opisy milicyjnych rewizji i „społeczne lekceważenie pracy rzemieślników", o których pisze,

2 Por. np. B.K. Kubis, *Wstęp*, [w:] *Losy Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich II RP (1944–1945)*, red. B.K. Kubis, Warszawa 2011.

3 Tematyka konfliktów, zarówno o podłożu etnicznym, jak i ekonomicznym, pomiędzy osadnikami z różnych fal osadniczych, jest szeroko omawiana w literaturze socjologicznej (por. np. A. Kwilecki, *Z pogranicza socjologii i historii. Elementy warsztatu badawczego*, Poznań 2016; G. Strauchold, *Jak „Szwaby" (tzw. autochtoni) i „Ukraińcy" (tzw. repatrianci) układali niespodziewanie wspólne życie na byłych niemieckich ziemiach wschodnich od 1945 roku*, [w:] *Bezdomna Europa. Migracje po II wojnie światowej we współczesnych badaniach humanistów*, red. B. Kromolicka, H. Walczak, Szczecin 2016, s. 69–80.

4 UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) – organizacja powołana do niesienia pomocy mieszkańcom krajów zniszczonych podczas działań wojennych; działała w latach 1943–1948, należało do niej ponad 40 krajów przeznaczających na pomoc 1% swojego PKB, jednak aż 94% pomocy zapewniły trzy kraje: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Kanada. Warto także wspomnieć, że 75% udzielonej pomocy docierało do beneficjentów „w naturze", w postaci ziarna, żywności i zwierząt hodowlanych, co w pierwszych latach powojennych uratowało wielu z nich od głodu i dało szansę rozpoczęcia gospodarowania na nowych gospodarstwach (por. np. K. Kowalski, *Plan Marshalla. Uwarunkowania i skutki gospodarczo-polityczne*, Łódź 2014).

to eufemizmy skrywające realne trudy i represje, z jakimi musieli się wówczas mierzyć rzemieślnicy prowadzący prywatną działalność gospodarczą.

Dalsze losy autora wiążą się z biedą i koniecznością racjonalnego gospodarowania skromnymi miesięcznymi przychodami – autor miał na utrzymaniu także żonę i musiał stale ponosić koszty zakupu lekarstw dla niej (z pamiętnika dowiadujemy się o jej kolejnych chorobach: nerwowej, na którą zapadła wskutek działań wojennych i pobycie w niemieckim obozie koncentracyjnym w czasie wojny, padaczce oraz chorobie oczu). Wincenty Kuć starał się także pomóc finansowo swojemu synowi, przyjmując na swoje utrzymanie najstarsze z jego czwórki dzieci, które studiowało we Wrocławiu. Mimo tych przeszkód, autor pozostał człowiekiem bardzo zaangażowanym zawodowo i społecznie, nadal optymistycznie nastawionym do życia, a chwile wolne od pracy poświęcał różnym formom aktywności, np. w ogródku działkowym, na którym uprawiał owoce i warzywa na sprzedaż, by dorobić do skromnej pensji. Autor wspominał także o zbieraniu przez żonę ziół w lesie, które wykorzystywane były następnie do leczenia członków własnej rodziny.

Na uwagę zasługuje także dość wnikliwa analiza życia społecznego przełomu lat 40. i 50. XX w. we Wrocławiu. Wincenty Kuć opisuje więc powstanie i rozwój, a następnie upadek rzemieślniczej prywatnej produkcji szewskiej. Chociaż nie pisze o tym wprost, analiza całej treści pamiętnika pozwala zauważyć, że jego opisy realiów życia zawodowego przed II wojną światową są utrzymane w bardziej pozytywnym tonie, autor zaznacza, że od 1932 r. do wybuchu wojny miał stałą pracę, która „w zupełności wystarczała na utrzymanie rodziny". Z kolei w okresie powojennym, po wielu latach trudu i pracy (także pracy nienagradzanej, prowadzonej poza normalnymi godzinami), nie mogąc utrzymać zakładu, musiał go zamknąć, dodatkowo przez wiele kolejnych miesięcy dotykała go też konieczność spłacania zadłużenia powstałego podczas prowadzenia warsztatu (jak pisze – za przyczyną narzuconego przez urzędników wspomnianego domiaru).

Codzienne życie w powojennym Wrocławiu i emocje związane z misją „Apollo 13"

Nie mniej uwagi poświęcił autor przemianom życia społecznego w powojennym Wrocławiu, czy też szerzej – ówczesnej Polsce. W pierwszych miesiącach po wojnie życie toczyło się w warunkach braku bezpieczeństwa i dotkliwym niedostatku podstawowych artykułów codziennego użytku, z czasem warunki te poprawiły się[5]. Z relacji autora dowiadujemy się, że był on członkiem licznych gremiów, komitetów i ciał doradczych, co pochłaniało mu bardzo dużo czasu. Wśród wymienianych przez niego funkcji są więc: ławnik w Sądzie Powiatowym, kurator społeczny nad warunkowo zwolnionym z więzienia, członek Towarzystwa Miłośników Wrocławia, sekretarz w Komitecie Sklepowym (z koniecznością udziału w comiesięcznych zebraniach i pisania sprawozdań z tych zebrań), społeczny gospodarz domowy, Zakładowy Społeczny

5 Jak pisze jeden z autorów: „Przez pierwszych 10 powojennych lat pogranicze polsko-niemieckie z jednej strony było obszarem zapomnianym, z drugiej zaś drenowanym w sensie ekonomicznym". Cyt. za: C. Osękowski, *Specyfika „Ziem Odzyskanych" po II wojnie światowej. Analiza problemu*, [w:] *„Ziemie Odzyskane" po drugiej wojnie światowej*, red. C. Osękowski, G. Strauchold, Zielona Góra 2015, s. 8.

Inspektor Pracy, przewodniczący Komisji Ochrony Pracy, członek w Komisji Powypadkowej oraz przewodniczący Komisji Rewizyjnej Kasy Zapomogowej[6]. Wydaje się, że ta obfitość instytucji, do których należał autor, może być potraktowana także jako informacja o realiach życia społecznego – aż dziewięć różnych gremiów wydaje się dość typowe dla życia codziennego tamtych czasów. Co ważne, z treści pamiętnika nie dowiadujemy się o żadnych konkretnych efektach tejże działalności – jest to, co najwyżej, kontrola nad zwolnionym warunkowo więźniem, pisanie sprawozdań z zebrań czy też korzyść w postaci możliwości kupienia czegoś w sklepie. Mimo więc znacznej obfitości różnych działań, trudno wymienić ich wymierne efekty. Wydaje się, że o ile w warunkach odbudowy państwa w pierwszych latach po wojnie wiele inicjatyw społecznych warunkowanych było koniecznością współpracy w tejże odbudowie, o tyle w późniejszych latach jego głównym zadaniem było utrzymanie członków społeczeństwa w permanentnej, choć niezmiernie jałowej, aktywności.

Warto także wspomnieć, że autor szczegółowo – w opisie swojego tygodnia – relacjonuje także misję kosmiczną „Apollo 13", co przeplatane uwagami o trudach codziennego życia w socjalistycznym państwie, daje dość groteskowy efekt tej części pamiętnika. Autor, opisując kolejne dni tygodnia[7], kończy je szczegółową relacją z przebiegu amerykańskiej misji kosmicznej, którą poznaje za pośrednictwem radia (można dodać za autorem – kupionego dzięki pożyczce z kasy zapomogowej oraz, dodatkowo, udziałowi w społecznym komitecie kolejkowym). Razem tworzy to niezamierzony zapewne efekt, gdy autor porównuje swoją codzienną egzystencję – z częstym odniesieniami do problemów materialnych, ekonomicznych i społecznych – ze startem, awarią, a następnie udanym sprowadzeniem na ziemię rakiety kosmicznej wraz z astronautami. Warto także zauważyć, że autor opisując całe to zdarzenie, posługuje się amerykańskim określeniem „astronauci" (pochodzącego z języka angielskiego), zamiast używanego w całym bloku wschodnim określenia „kosmonauci".

Uwagę przyciągają także częste odniesienia do religii, dodajmy – sprawa wyjątkowa w pamiętnikach nadesłanych na konkurs[8]. Autor wspomina więc o swojej codziennej porannej modlitwie, udziale w mszy św., a także nakładach pracy i wysiłkach cechu szewskiego, który w 1946 r. ufundował i poświęcił w kościele swój sztandar. W innym miejscu pamiętnika autor opisuje także niespodziewaną wizytę swojego przyjaciela z Warszawy, uzupełnioną o wątki religijne: „jest to jedyny przyjaciel

6 Zachowuję oryginalną pisownię podawanych przez autora pamiętnika funkcji.

7 W warunkach konkursu, na który nadesłany został przedstawiany pamiętnik, poproszono jego uczestników o opisanie swoich losów oraz o przedstawienie rozkładu zajęć w ciągu tygodnia swojego ówczesnego życia.

8 Wyjątkowość tego rodzaju wzmianek ma związek z konsekwentnie prowadzoną przez różne organy państwa polskiego od roku 1944 walką z Kościołem. O ile w pierwszych latach powojennych administracja kościelna i osoby duchowne były traktowane jako swoisty sprzymierzeniec w polonizacji Ziem Odzyskanych, o tyle po roku 1947 zwalczanie Kościoła i jego działalności przybrało na sile. W wyniku tych działań aresztowano i stracono wielu księży i osób duchownych, prześladowano także wiernych, por. *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1945–1956*, red. E. Wojcieszyk, Poznań 2012. Wśród publikacji pamiętnikarskich, w których wątki dotyczące życia religijnego przedstawione są bardziej obszernie, wymienić można choćby zbiór *Wspomnienia Opolan*, red. A. Glińska, Warszawa 1960.

z którym żyjemy w przyjaźni od roku 1924, jesteśmy jednocześnie kumami, gdyż podawał on do chrztu mojego syna, a ja u niego jego córkę". Wydaje się więc, że życie religijne, także w kontekście czynnika wpływającego na życie społeczne i relacje z innymi, było dla autora czymś istotnym, jednak czas pisania pamiętnika, w warunkach mniej lub bardziej otwartej walki państwa z Kościołem, nie pozwalał na rozwinięcie tego tematu.

Z pamiętnika poznajemy także opinie autora o przemianach w październiku 1956 r. i wyborze Władysława Gomułki na funkcję I sekretarza KC PZPR. O wydarzeniach tych wypowiadał się na kartach pamiętnika zdecydowanie bardziej konkretnie, wskazując powstałe wówczas patologie i ich konsekwencje. Zapewne część frustracji autora miała związek także z konfliktami w miejscu pracy – m.in. przedstawił on awans swojego przełożonego, gorzej wykształconego oraz, jego zdaniem, niekompetentnego, co przyczyniło się do spadku rentowności firmy i pogorszenia sytuacji wszystkich zatrudnionych pracowników.

Należy w tym miejscu także dodać, że autor pamiętnika wspomniał szczegółowo swoje kwalifikacje zdobywane na kolejnych kursach i szkoleniach, wymieniając m.in. kurs BHP, kurs księgowości, kurs dla rehabilitacji inwalidów, kurs ekonomiki przedsiębiorstw[9]. Opisując dalej życie społeczne, narzekał na powszechne chuligaństwo i związaną z tym dewastację przestrzeni publicznej, a także pijaństwo, rozpoczynające się, według niego, od spożywania alkoholu w miejscu publicznym. To ciekawy wątek, nieczęsto pojawiający się w pamiętnikach, a jeżeli, to zazwyczaj w kontekście powojennej rzeczywistości, gdy wódka pełniła funkcję nieformalnej waluty, zwłaszcza w kontaktach z żołnierzami radzieckimi[10]. W czasie gdy autor pisze swoje wspomnienia, alkohol i jego publiczne spożywanie, w tym także w pracy, były powszechnym elementem życia społecznego. Wincenty Kuć opisuje więc inną, oprócz alkoholizmu, plagę społeczną, która była pozostałością z czasów powojennych: kradzież oraz wymianę towarów i powierzonego mienia społecznego na alkohol. Proceder ten został na kartach pamiętnika szczegółowo opisany i bardzo krytycznie oceniony. Z tej dość szczegółowej relacji dowiadujemy się też o kolejnych problemach nękających socjalistyczne społeczeństwo w jego codziennej egzystencji – o nieefektywności socjalistycznej pracy pozbawionej poczucia odpowiedzialności i solidności, korupcji i marnotrawstwie materiałów oraz o braku możliwości zmiany tego stanu[11]. Chociaż autor ograniczył się do skrupulatnego opisu problemu, dokonanego z perspektywy obserwatora, możemy spodziewać się, że jego spostrzeżenia mają charakter uniwersalny i mogą być potraktowane jako ilustracja problemów życia zawodowego w Polsce lat 60. XX w. Także inne uwagi autora

9 Zachowuję pisownię nazw kursów według pamiętnika.

10 Por. np. H. Lech, *Zatrzymane w pamięci*, [w:] *Losy Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich II RP (1944–1945)*, red. B.K. Kubis, Warszawa 2011, s. 157–160.

11 Wśród wielu socjologicznych opracowań tego problemu warto wymienić choćby raport z badań opublikowany przez Jana Lutyńskiego i jego analizę stanu „atrofii poczucia odpowiedzialności", por. J. Lutyński, *Nauka i polskie problemy. Komentarz socjologa*, Warszawa 1990.

o społecznych patologiach tamtych czasów – chuligaństwie, łapówkarstwie (według jego relacji łapówki domagał się nawet sprzedawca przy chęci zakupu „bardziej poczytnego tygodnika" w kiosku), uciążliwych drobnych kradzieżach i dewastowaniu ogródków działkowym, składają się na opis życia społecznego daleki od oficjalnych publikacji tamtych czasów.

Podsumowanie

Autor wspomnień, szewc z zawodu, przedstawia relację, z której wynika, że był on człowiekiem aktywnym zawodowo i społecznie. Był też ponadprzeciętnie zaradny – w każdej życiowej sytuacji potrafił znaleźć pracę i – gdy zmuszały go do tego okoliczności – dorobić, choćby ze sprzedaży plonów z ogródka czy ziół zbieranych z żoną w lesie. Jego pamiętnik jest dość szczegółowym opisem życia społecznego powojennego osadnika – warszawiaka we Wrocławiu, a następnie aktywnego członka lokalnej społeczności, zaangażowanego w odbudowę wrocławskiej infrastruktury, życia zawodowego, religijnego oraz społecznego.

Znaczące wydaje się niezmiernie lakoniczne informowanie o swojej rodzinie, szczególnie tej najbliższej, co pozwala jedynie domniemywać, że jest to jeden z czynników kształtowania się powojennego życia społecznego, w którym należało być aktywnym i obecnym w różnych obszarach życia społecznego, ale chronić swoją rodzinę przed zbytnim ujawnianiem szczegółów, także historycznych, np. dotyczący członkostwa syna w „tajnej organizacji", bez podawania jej nazwy. Z pamiętnika nie dowiadujemy się także zbyt wielu szczegółów o czasach wojny i okupacji, podobnie jak przyczyn decyzji o opuszczeniu Warszawy – z pewnością jednak były to traumatyczne wspomnienia wojenne. Interesujący jest natomiast przedstawiony przez autora opis osiedlenia się we Wrocławiu – życie społeczne na obszarze zrujnowanego działaniami wojennymi miasta sprawiło na nim wrażenie niemal zupełnego chaosu i bezprawia. Zamieszkujący w mieście ludzie musieli przenosić się na wyższe piętra budynków w trosce o własne bezpieczeństwo, jak pisze autor, „prawie każdej nocy rozlegały się wołania o pomoc". Wydaje się więc, że opisane w tekście codzienne problemy odradzania się życia społecznego w mieście w znacznym stopniu zdeterminowane były przez konieczność zapewnienia sobie i swojej rodzinie nie tylko jedzenia i miejsca zamieszkania, ale i fizycznego bezpieczeństwa, co stanowiło niemałe wyzwanie. Podobnie wzmianki autora wspomnień o jego życiu religijnym powinny być traktowane z uwzględnieniem ówczesnych realiów, w których przyznawanie się do swojej religii mogło stać się przyczyną represji. Prowadzona przez duchowieństwo działalność nie ograniczała się jedynie do posługi duszpasterskiej, księża i zakonnice prowadzili także działalność charytatywną, organizowali szpitale i pomoc społeczną, częstokroć wyprzedzając w tym względzie instytucje państwa.

Na uwagę zasługuje także cały opis losów autora pamiętnika – przedwojennego szewca, aktywnego uczestnika robotniczych protestów i strajków, który, jak pisze, dobrze poznał aktywność lewicowych organizacji politycznych w czasach II RP. Co istotne, wydaje się, że wrodzona aktywność Wincentego Kucia pchnęła go do wzięcia udziału w odbudowie Wrocławia i włączania się w różnego rodzaju społeczne

działania (w ramach wyznaczanych przez warunki życia społecznego tamtych czasów), w miarę jednak angażowania się w kolejne obszary aktywności, u autora postępowało także rozczarowanie jej efektami – upadkiem jego prywatnej działalności gospodarczej, koniecznością spłacania długów powstałych w wyniku krzywdzących urzędniczych decyzji, brakiem awansu w późniejszym miejscu pracy czy też jałowością działalności społecznej, która pochłaniała mu tak dużo czasu. Dodatkowo, opis realiów życia społecznego uzupełniają refleksje autora na temat wszechobecnego pijaństwa w sąsiedztwie, szczególnie rażącego w przypadku pracowników, którzy, by zdobyć pieniądze na alkohol, kradli i sprzedawali nielegalnie materiały budowlane (dodać należy – materiały niedostępne wówczas na rynku). W ten oto sposób przedwojenny aktywny politycznie robotnik bezsilnie spogląda na wprowadzane w życie zmiany, dalekie od ideałów, w które w młodości wierzył. Dość długi okres opisany w pamiętniku – od lat 30. XX w. aż do 1970 r. – daje okazję do szerszego niż w wielu pamiętnikach spojrzenia na zmieniającą się rzeczywistość społeczną i porównanie konkretnych problemów, zdarzeń i sytuacji, co pozwala autorowi przy okazji obnażyć wiele absurdów codziennego życia w Polsce tamtych czasów. Wincenty Kuć, być może w niezamierzony sposób, informuje nas więc o ekonomicznych trudnościach swojej codziennej egzystencji i wysiłkach w zapewnianiu bytu swojej rodzinie, które mimo upływu lat od czasów wojennych, nadal w podobnym stopniu zajmowały jego codzienne życie.

Dodatkowym elementem dodającym niejako kolorytu opisowi tamtych czasów, jest opisywany przebieg lotu amerykańskiej misji kosmicznej „Apollo 13", która w stopniu nie mniejszym niż pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu, ogniskowała uwagę społeczną we wszystkich krajach. Życie codzienne w PRL w tamtym czasie było jednak skupione wokół zdecydowanie bardziej przyziemnych problemów, i tak, jak wszechobecne organizacje społecznej aktywności wydają się mało udanym przedłużeniem powojennego entuzjazmu w odbudowie kraju, tak i powszechne łapownictwo, pijaństwo i marnotrawstwo w miejscu pracy to kontynuacja społecznych patologii rozpoczętych wraz z falą szabrownictwa lat powojennych.

Relacja Wincentego Kucia
Pamiętniki mieszkańców Ziem Odzyskanych[12]

Ojciec mój posiadał 4 morgi gruntu, poza tym pracował jako dróżnik na szosie warszawsko-brzeskiej. Mieszkał w miasteczku Kałuszyn, gdzie dotychczas jeszcze znajduje się bardzo wielu moich krewnych. Rodzina moja była bardzo liczna, gdyż było nas dwanaścioro dzieci, z czego wychowało się dziewięcioro, a to czterech braci oprócz mnie i cztery siostry. Ja byłem najmłodszym dzieckiem. Urodziłem się 14 lipca 1906 r., gdy miałem 4 lata umarł mój ojciec i utrzymanie całej rodziny spadło na barki naszej matki. Siostra mojej mamy mieszkała w Warszawie, a mąż jej pracował w fabryce, po śmierci ojca mama przy jej protekcji zaczęła pracować w fabryce

12 W treści źródła w minimalnym zakresie uwspółcześniono ortografię, interpunkcję i gramatykę (przyp. red.).

i dlatego zamieszkaliśmy w Warszawie. W owym czasie uczenie się, szkoła były drogie, więc mama jednego mojego brata oddała do nauki stolarstwa, drugi zaczął pracować w zawodzie cukierniczym, trzeci z braci został dróżnikiem i osiedlił się w Mińsku Mazowieckim, czwarty pozostał na gospodarstwie. Siostry nie otrzymały żadnego zawodu, lecz trzy siostry wyszły za mąż, natomiast czwarta w czasie pierwszej wojny światowej wyjechała do Rosji i do tej pory nie mamy o niej żadnej wiadomości. Ja, gdy ukończyłam szkołę powszechną, zacząłem uczyć się zawodu szewskiego u mistrza Feliksa Danowskiego. Oprócz nauki w zawodzie ukończyłem kurs w Instytucie Naukowo-Rzemieślniczym przy ul. Chmielnej 62, który dawał uprawnienia do przystąpienia do egzaminu mistrzowskiego. Służbę wojskową odbyłem w pierwszym pułku łączności, który stacjonował w Zegrzu pod Warszawą. W młodości mojej bardzo interesowałem się polityką, uczęszczałem na liczne wiece zorganizowane przez organizacje lewicowe, szczególnie przez PPS. Od roku 1919 corocznie brałem udział w pochodach pierwszomajowych, ponieważ należałem do Związku Szewców, który miał zabarwienie skrajnie lewicowe. Zbiórki do pochodu urządzaliśmy przeważnie na placu Bankowym. Związek nasz bardzo często był rozwiązywany przez ówczesne władze, a przywódcy z reguły aresztowani. Nigdy nie mogliśmy być długo w jednym lokalu. Mieściliśmy się między innymi na ul. Żelaznej, na ul. Stawki, na ul. Chłodnej oraz na ul. Leszno. Przeważnie pomieszczenia związku był niewygodne i mieściły się w suterynach, jak np. na ul. Żelaznej i Stawkach lub na poddaszu, jak przy ul. Leszno 23. Bardzo często przeprowadzaliśmy strajki, przeważnie na jesieni i na początku wiosny. Strajki z reguły wygrywaliśmy, ale i wyniszczały one nas, strajkujących, materialnie, gdyż czasem trwały one do czterech tygodni. Na wiosnę roku 1934 przeprowadziliśmy strajk okupacyjny, który polegał na tym, że szewcy zatrudnieni u jakiegoś kupca przychodzili do sklepu i siedzieli w nim cały dzień. Kupiec taki miał wówczas utrudnioną sprzedaż i często prowokował awanturę, wtedy wkraczała policja i aresztowała strajkujących. Ponieważ w zawodzie szewskim są dwa okresy sezonowe w roku, więc tę podwyżkę cośmy uzyskali, strajkując, obniżano nam w miesiącach zimowych i letnich, to jest gdy się kończył sezon, może nie mieliśmy żadnej opieki prawnej – bo pracowaliśmy przeważnie jako chałupnicy – więc często dokuczał nam niedostatek.

Na przełomie roku 1931/32 zostałem bezrobotnym. Byłem zarejestrowany w Urzędzie Pośrednictwa Pracy przy ul. Ciepłej, stamtąd czasami wysyłano nas na tzw. roboty publiczne, którymi były sprzątanie śniegu z ulic lub też niwelowanie jakiegoś terenu na przedmieściu Warszawy – między innymi urządzaliśmy boisko na Kole. Pewnego razu – było to w marcu 1932 r., gdy wracałem z takiej roboty, przeczytałem ogłoszenie, że potrzebny jest szewc, wstąpiłem do tego sklepu i zostałem przyjęty do pracy. Od tego czasu tak się składało, że nie zaznałem już bezrobocia. Ożeniłem się w Warszawie, mieliśmy dwóch synów. Z nami mieszkała moja mama, która była na moim utrzymaniu do chwili śmierci, tj. do 12 kwietnia 1933 r. Moja żona nie pracowała, gdyż nie miała żadnego zawodu, a poza tym i o pracę było trudno, a ponieważ artykuły żywnościowe były bardzo tanie, więc gdy pracowałem, to mój zarobek wystarczał w zupełności na utrzymanie rodziny. A nawet miałem paręset złotych na książeczce oszczędnościowej. Do roku 1941 mieszkaliśmy przy ulicy Grzybowskiej 7b, tj. do czasu

utworzenia przez Niemców w Warszawie getta dla ludności żydowskiej, ponieważ pierwotnie budynek, w którym mieszkaliśmy, znajdował się w obrębie dzielnicy żydowskiej, więc zmuszeni byliśmy go puścić i zamieszkaliśmy w dzielnicy Ochota przy ul. Siewierskiej nr 7, gdzie mieszkaliśmy do czasu Powstania Warszawskiego. Gdy miała wybuchnąć wojna, zostałem powołany 26 sierpnia do wojska do 36. pułku piechoty, który stał na Pradze przy ul. 11 listopada. Było tam nas bardzo dużo rezerwistów i panował okropny bałagan. Nikt nie wiedział, gdzie ma swoje miejsce przedziału, nie było odpowiedniego wyżywienia oraz brak umundurowania. Z tego powodu powiedziano tym, co mieszkali w Warszawie, ażeby poszli do domu, a gdy będzie potrzeba, to zostaną zawiadomieni do stawienia się w pułku. Już w niedzielę 3 września powróciłem do domu. Oblężenie Warszawy przeżyłem z rodziną i jak wszyscy mieszkańcy stolicy ponosiliśmy głód, trudny i niebezpieczeństwo. W czasie okupacji pracowałem w swoim zawodzie, wykonując usługi dla ludności, ponieważ Niemcy wymagali, ażeby każdy mężczyzna posiadał tzw. ausweis, więc chcąc go mieć, podjąłem służbę w straży pożarnej przy ul. Polnej. Służba tam trwała 24 godziny bez przerwy, a 48 godzin było wolne. Ponieważ płaca była według stawki przedwojennej – przeszło 200 zł miesięcznie – więc chcąc utrzymać rodzinę, zmuszony byłem dorabiać w domu, wykonując szewstwo. Pewnego razu – a było to 15 stycznia 1943 r., zostałem zatrzymany w czasie łapanki urządzonej przez Niemców. Wsadzono mnie do samochodu tzw. budy – który stał przy Hali Mirowskiej, i zawieziono na Pawiak. Tam siedziało nas w jednej celi około 70 osób, warunki były straszne. Gdy po jakimś czasie wywożono nas do Majdanka, uciekłem z transportu kolejowego i ukryłem się w miejscowości Rycice koło Świdra u Józefa Kosa. Z transportu tego uciekło kilkudziesięciu więźniów. Z wagonu uciekliśmy w ten sposób: gdy nas załadowano do wagonów bydlęcych na Dworcu Wschodnim przechodził obok wagonów policjant „polski" – gdyż policja musiała pomagać Niemcom przy załadowywaniu wagonów – gdy ów policjant przechodził koło naszego wagonu, przystanął i udając, że poprawia zamknięcie drzwi, podał nam żelazny łom długości około 30–40 cm i niby coś krzycząc, gdy w pobliżu nie było Niemców, doradził nam ucieczkę z wagonu i to jak najbliżej Warszawy. Gdyśmy go zapytali o nazwisko, powiedział, że nazywa się Obarski, jest z VI komisariatu, który mieścił się przy ul. Waliców. Z rady jego skorzystaliśmy, gdy pociąg ruszył – a było już ciemno – zaczęliśmy robić dziurę we drzwiach wagonu, gdy zrobiliśmy już otwór takiej wielkości, że człowiek mógł się przecisnąć, zaczęliśmy – w czasie jazdy – pojedynczo wyskakiwać. Ja wyskoczyłem zaraz z samego początku i szczęśliwie udały mi się i skok, i ucieczka, jednak wielu nie miało tego łutu szczęścia i zostali ranni lub zabici, między innymi w tym samym wagonie był Jan Witulski, mój sąsiad z ul. Grzybowskiej, i on wyskoczył, ale Niemcy go zabili. Jak wspomniałem, skryłem się u gospodarza Józefa Kosa, a ponieważ w czasie mojej wędrówki spotkałem drugiego uciekiniera z transportu, więc razem znaleźliśmy schronienie u tego dobrego gospodarza. Nie chcieliśmy narażać gospodarza i jego rodziny na niebezpieczeństwo, więc postanowiliśmy powrócić do Warszawy, gdzie w takim dużym skupisku ludzkim łatwiej było się ukrywać. Ja ukrywałem się u mojej siostry Marianny Daszczuk, która obecnie mieszka we Wrocławiu przy ul. Obrońców Pokoju 7 m 2. W tym okresie wiedliśmy życie rodzinne w ukryciu, gdyż obawiałem się, ażeby

ktoś ze znajomych nie spotkał mnie i nie wygadał się niepotrzebnie. Syn nasz najstarszy skończył już szkołę powszechną i zaczął uczęszczać do Gimnazjum Mechanicznego przy ul. Sewerynów. Gimnazjum to położone było w Śródmieściu, więc musiał jeździć dwoma tramwajami, co było bardzo niebezpieczne ze względu na łapanki urządzane przez Niemców, którzy nie zwracali uwagi na wiek młodzieńczy i na równi ze starszymi osobami wywozili do obozów. Powstanie Warszawskie zastało nas przy ul. Siewierskiej. Syn nasz Edmund – pomimo że był niepełnoletni – należał do tajnej organizacji i poszedł do powstania. Na tę dzielnicę Warszawy, w której mieszkaliśmy, byli wysyłani przez Niemców tzw. „własowcy", którzy nas zabrali i zaprowadzili na Zieleniak, który był położony róg Opaczewskiej i Grójeckiej na końcu Ochoty. Cośmy tam przeżyli i jak z nami postępowali, trudno opisać. Na tym Zieleniaku umarł z wycieńczenia nasz najmłodszy syn Michaś, wykopałemgrób pod murowanym ogrodzeniem Zieleniaka i tam go pochowaliśmy. Gdyśmy powrócili 17 maja 1945 r. do Warszawy, już nie zostaliśmy tego grobu, gdyż w międzyczasie zwłoki wszystkich pochowanych na Zieleniaku ekshumowano i przeniesiono na Cmentarz Wolski. Z Zieleniaka wywieziono nas do Pruszkowa, a stamtąd do Niemiec, do obozu Burgweide – obecna nazwa Sołtysowice pod Wrocławiem. W obozie tym przeżyliśmy najcięższe chwile naszego życia, gdyż będąc niewolni, nie mogliśmy sobie poradzić, ażeby załagodzić głód i zimno, które nam dokuczały, a do tego gdy się doda poniżanie i maltretowanie nas przez Niemców oraz niebezpieczeństwo, jakie nam zawsze zagrażało w ciągu całego oblężenia Wrocławia, będziemy mieli obraz naszej gehenny. Z obozu wyszliśmy dopiero 15 maja 1945 r. i wyruszyliśmy do Warszawy, ażeby dowiedzieć się o losie pozostałej rodziny. Do Kępna szliśmy pieszo, a później wsiedliśmy do pociągu, który szedł do Ostrowa Wielkopolskiego, stamtąd zaś przez Łódź do Warszawy. W jakich warunkach jechaliśmy, to tylko ci wiedzą, którzy w owym czasie potrzebowali podróżować. Podróż naszą odbyliśmy na wierzchu wagonu towarowego i aż obecnie dziw bierze, żeśmy nie pospadali. W Warszawie zastaliśmy spalone nasze mieszkanie, więc nie mając gdzie zamieszkać, pojechaliśmy do matki mojej żony, która mieszkała w Wohyniu w województwie lubelskim. Podróż pociągiem również była makabryczna, gdyż do Siedlec jechaliśmy na parowozie, następnie ulokowaliśmy się na wierzchu cysterny i tak szczęśliwie dojechaliśmy do celu. U rodziny żony pobyliśmy ze dwa tygodnie, a ponieważ jest to miejscowość mała i nie widzieliśmy żadnej perspektywy na przyszłość, więc postanowiliśmy powrócić do Warszawy, co też uczyniliśmy. W Warszawie spotkaliśmy się z naszym synem i ulegając propagandzie, która ogłosiła potrzebę osiedlania się na Ziemiach Odzyskanych, wyruszyliśmy do Wrocławia, ponieważ już go znaliśmy z naszych czasów obozowych. Na zachód jechaliśmy wówczas okrężna drogą, a mianowicie najprzód do Katowic i poprzez Lubliniec, Kluczbork do Leśnicy, skąd już pieszo przybyliśmy do Wrocławia. Gdy znaleźliśmy się we Wrocławiu, stanął przed nami problem, gdzie zatrzymać się i co robić. Ponieważ kiedyś, gdy pracowałem w Straży Pożarnej w Warszawie, odniosłem po tej pracy wspomnienie jak najlepsze – gdyż w tej pracy nie ma okazji do picia wódki, obowiązuje surowa dyscyplina – a ponieważ chciałem, żeby syn nasz nie wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, dlatego poleciłem synowi, ażeby zgłosił się do pracy w Straży Pożarnej,

co też i uczynił. Straż Pożarna mieściła się przy ul. Ołbińskiej (Elbingstrasse). Był to wówczas główny oddział straży. Dostał zakwaterowanie i wyżywienie, natomiast ja przystąpiłem do pracy na kolei, na dworcu Nadodrze (Odertor). Wówczas był to dworzec najmniej zniszczony, a parowozownia będąca przy nim nadawała się jako tako do użytku. Zostałem skierowany do parowozowni – która wówczas nazywała się Główna – jako rymarz. Parowozownia ta posiadała tylko mury zewnętrzne, nie było dachu, ale gdzie stały maszyny, przedstawiały żałosny widok. Było to bardzo trudna praca doprowadzić parowozownię w jak najkrótszym czasie do używalności. Pierwszym naczelnikiem parowozowni był inż. Haberko, człowiek bardzo energiczny i znający się na pracy, którą miał sobie powierzoną. Zastępcą naczelnika parowozowni był ob. Wnuk, stary, przedwojenny kolejarz, a głównym naczelnikiem nad wszystkimi parowozami we Wrocławiu był inż. Redlich. [...] W warsztatach tych było dużo różnych maszyn, takich jak: wiertarki, szlifierki, strugarki i inne. Wiele z nich było zniszczonych, w wielu brakowało niektórych części, więc główną troską wszystkich pracowników Polaków było tę maszynę uruchomić, ażeby można wytwarzać niezbędne części do parowozów. Ówczesne maszyny uruchamiane były przy pomocy pasów, których nie było, gdyż wszystkie pasy skórzane zostały rozkradzione, dlatego musiałem bardzo zabiegać, żeby do każdej maszyny zdobyć odpowiedni pas. W tym okresie nie było żadnego zaopatrzenia, jeżeli się coś uruchamiało, to przeważnie własnym przemyślunkiem. Pasy do maszyn sztukowałem z różnych kawałków skóry, była to praca bardzo mozolna, a mało efektywna, tak że w pierwszych tygodniach pracowałam codziennie po 10–12 godzin, gdyż chciałem, ażeby z rana maszyny były czynne. Wtedy za godziny nadliczbowe nikt mi nie płacił, a wykonywałem swoją pracę z obowiązku obywatelskiego. Z biegiem czasu wystarałem się o więcej formatów różnych starych pasów bądź to skórzanych, bądź też parcianych i gdy miałem już do każdej maszyny pas zapasowy, to już niestraszne było dla mnie, że gdzieś przy maszynie pas zerwał się, gdyż mając drugi taki sam pas w zapasie, zakładałem go do maszyny, a zerwany w międzyczasie naprawiałem. Początkowo pracowników Polaków w parowozowni było bardzo mało. Niemcy, którzy zgłosili się do pracy, nie bardzo przykładali się do niej. Pamiętam jednego Niemca szklarza, nazwiskiem Pohl, który potrafił zepsuć kilka szyb, zanim jedną całą wprawił, a przecież szkło było bardzo poszukiwane, gdyż w mieście wszystkie okna były nieoszklone. Lecz z każdym miesiącem, a nawet dniem przybywało do pracy coraz więcej repatriantów, a rezultatem naszej pracy było to, że już 19 lipca 1945 r. przyjechał na dworzec Nadodrze pierwszy pociąg z Oleśnicy. Była to uroczysta chwila, gdy pierwsi pasażerowie wyszli z pociągu, a myśmy ich witali. Niektórzy pracownicy Polacy nie mogli wytrzymać pracy w tak ciężkich warunkach, a do tego i przy złym zaopatrzeniu żywnościowym, więc odchodzili, ale bardzo dużo pozostało w pracy i pracują do dnia dzisiejszego, np. Jan Socha, Stanisław Chruściel, Franciszek Szydłowski (Czipka), Piotr Roman oraz wielu innych, których nie sposób wymienić. Z wyżywieniem było bardzo źle. Obiady otrzymywaliśmy z kuchni kolejowej, ale były to obiady bezmięsne, przeważnie z kaszy lub fasoli, nawet ziemniaków nie było. Poza tym otrzymywaliśmy chleb, który zabieraliśmy do domu na kolację i śniadanie. Później gdy zaczęły nadchodzić paczki z UNRRA, wyżywienie stało się

znośniejsze. Wody, gazu oraz prądu początkowo również w wielu dzielnicach nie było, ale nie odczuwało się chwilowo braku światła, gdyż dnie były długie i wieczorami można było sobie odpocząć bez światła. Do domu, w którym zamieszkaliśmy, dopiero przy końcu września 1945 r. doprowadzono gaz, gdyż przeważnie do wielu domów było doprowadzone oświetlenie gazowe oprócz elektrycznego. Gorzej było ze zdobyciem koszulek do oświetlenia gazowego. Ale kłopoty zaopatrzeniowe nie skończyły się przy końcu roku, z chwilą gdy uruchomiono elektryczność. Najbardziej dawał się odczuć brak wody pitnej, ale z biegiem czasu i ta trudność została pokonana. Ze względu na zabezpieczenie przed szabrownikami i różnymi rabusiami, bramy domów były pozamykane w dzień i w nocy, i początkowo chodziło się jakby po wymarłym mieście. Bardzo często bandy rabusiów usiłowały urządzać w nocy grabież zamieszkałych domów, prawie każdej nocy rozlegało się wołanie o pomoc ludności osiadłej. Tak początkowo ułożyło się, że pozostała we Wrocławiu ludność niemiecka przeniosła się na wyższe piętra, zabierając ze sobą z pięter niższych, co tylko było wartościowego z urządzeń mieszkań. Dlatego też Polacy osiedlający się we Wrocławiu zaraz po ustaniu działań wojennych zajmowali mieszkania opuszczone i wyszabrowane na piętrach niższych i starali się zamieszkać w większym skupisku dla większej bezpieczności. Tak ja zamieszkałem już przy końcu czerwca 1945 r. przy ul. św. Wincentego (obecnie Obrońców Pokoju) nr 3. W tym samym czasie obok mnie zamieszkał pan inż. Stanisław Lipecki repatriant ze Lwowa, a w niedługim czasie po nas – już na jesieni – sprowadził się Piotr Roman, z którym razem pracowałem na kolei. Wszyscy mieszkamy w tych samych mieszkaniach do dnia dzisiejszego, zaznaczam, że zajęliśmy mieszkania opuszczone przez Niemców i wyszabrowane.

Mieszkania czwartego i piątego piętra zajmowali Niemcy jeszcze do roku 1946. W tym czasie, tj. miesiącu lipcu, odbywało się przegrupowanie Armii Radzieckiej na terytoriach okupacyjnych, więc przez parę tygodni odbywały się ruchy wojsk, co dawało podstawę do krążenia różnych plotek, a między innymi i tej, że wkrótce rozpoczną się działania wojenne między Związkiem Radzieckim a państwami zachodnimi. Pogłoski te wywoływały duży niepokój osiedlającej się ludności na Ziemiach Odzyskanych. Korzystali z tego szabrownicy i element niespokojny, co tylko dało się, to zabierali i wywozili. Do tego doszło, że jak się poszło do pracy, to szabrownicy rozbijali drzwi lub okna, jeżeli mieszkanie znajdowało się na parterze – i wynosili, co tylko mogli. Ja sam miałem taki wypadek: wracam z pracy około godziny 17 i widzę, że drzwi są otwarte, gdy wszedłem do mieszkania, to zostałem dwóch mężczyzn plądrujących mieszkanie, gdy zacząłem krzyczeć (chociaż wiedziałem, że i tak nikt nie pospieszy na pomoc), to jeden z nich mówi: „Nie krzycz! Bo to przecież i tak nie twoje, lecz poniemieckie", no i co miałem robić? Oni przeszli obok mnie i zupełnie nie spieszyli się z odejściem. Tak wówczas było bezpiecznie we Wrocławiu.

Ponieważ z zawodu jestem szewcem, już przed wojną pracowałem w różnych organizacjach grupujących pracowników tego zawodu, więc we Wrocławiu zacząłem współorganizować – z osobami uprawiającymi ten zawód – cech szewski. Już w listopadzie 1945 r. organizowaliśmy pierwsze nasze spotkania, a z początkiem 1946 r. powstał Cech Szewców, którego pierwszym Starszym Cechu został ob. Franciszek

Trzeciak, ja zostałem wybrany członkiem Komisji Rewizyjnej. A później także byłem mianowany przez Izbę Rzemieślniczą we Wrocławiu zastępcą przewodniczącego Komisji Egzaminacyjnej dla zawodu szewskiego. Już w grudnia 1946 r. ufundowaliśmy sztandar cechowy, którego poświęcenie odbyło się w kościele św. Doroty. Członkowie cechu, a między nimi i ja, często brali udział w odgruzowywaniu miasta oraz organizowali składki pieniężne na odbudowę stolicy.

Przy końcu maja 1947 r. zwolniłam się z pracy na kolei i prowadziłem warsztat szewski przy ul. Wincentego Witosa 64. Początkowo praca w rzemiośle szła mnie dość dobrze, lecz z biegiem lat coraz trudniej było prowadzić warsztat prywatny, bądź to z powodu trudności nabycia materiałów potrzebnych do wykonywania zawodu, bądź też nacisku wywieranego w postaci tzw. domiarów przez Wydział Finansowy. W końcu doszło do tego, że nawet milicja zachodziło do pracowni, przeprowadzała rewizję, przewracając wszystko do „góry nogami". Również prasa zaczęła nagonkę na rzemiosło, a społeczeństwo tak negatywnie nastawione przez prasę zaczęło lekceważyć naszą pracę. W październiku 1949 r. dostałem tak duży domiar, że dalsze prowadzenie warsztatu prywatnego przeze mnie stało się niemożliwe, w dodatku zajęto mi urządzenia warsztatu oraz materiały potrzebne do wykonywania zawodu i tak po tym niesłusznym pociągnięciu doszedłem z powrotem do punktu wyjściowego, czyli że znowu nic nie posiadałem. Po tym domiarze z Wydziału Finansowego straciłem zupełnie zaufanie do wszelkich poczynań władz względem rzemiosła, bo co innego głosiły władze nadrzędne, a wręcz przeciwnie postępowali urzędnicy Wydziału Finansowego. W listopadzie 1950 r. lokal, w którym miałem pracownię oraz urządzenia warsztatu, przejęło MHD, nie zostałem kierownikiem tego warsztatu. Ponieważ kwota domiarów przewyższało wartość zajętego urządzenia, więc resztę domiarów potrącano mi przez dłuższy czas przy wypłacie poboru za pracę. W grudniu 1951 r. dyrekcja MHD przekazała punkty usługowe szewskie spółdzielczości, w ten sposób zostałem uspołeczniony, stając się członkiem spółdzielni „Związkowiec". Lata 1950–1953 miałam bardzo trudne, gdyż musiałem spłacać domiar wymierzony mi przez Wydział Finansowy. Kwota domiarów wzrosła mi trzykrotnie, gdyż na jesieni 1950 r. nastąpiła wymiana pieniędzy i w przeliczeniu wydanym przez władze obywatel musiał płacić państwu potrójną sumę należności, co było bardzo krzywdzące dla dłużników państwa. W tym czasie zaopatrzenie w żywność było bardzo skąpe, niektóre artykuły były wydawane na kartki i to w niedostatecznej ilości, szczególnie wyroby mięsne trzeba było dokupywać na tzw. czarnym rynku, płacąc za nie ceny o wiele wyższe od cen obowiązujących.

Panujący kult jednostki do jesieni 1956 r. dławił wszelką wolną myśl, na zebraniach, jakie odbywały się w miejscach pracy z okazji różnych uroczystości, wolno było tylko oklaskiwać wszelkie bzdury, jakie wygłaszano, a na tych, co nie okazywali należnego entuzjazmu, zawsze znalazł się jakiś sposób, który czynił ich prawomyślnymi. Na jesieni 1956 r. prysł kult jednostki i społeczeństwo nareszcie swobodniej odetchnęło. Zniesiono różne przywileje, jaki mieli ci, których oddzielały żółte firanki od społeczeństwa. Życie obywateli skierowane zostało we właściwy nurt, a prawa obywatelskie zagwarantowane przez Konstytucję PRL zaczęły być respektowane. W latach następnych życie zaczęło się stabilizować, rynek towarowy był coraz lepiej

zaopatrywany zarówno w artykuły żywnościowe, jak i wyroby przemysłowe, a ponieważ każdy zdrowy i chętny do pracy człowiek mógł pracować, więc warunki materialne rodzin zaczęły się szybko poprawiać, co objawiło się między innymi tym, że ludzie zaczęli systematycznie oszczędzać, gromadząc swoje oszczędności na książeczki PKO. Żywności było z każdym rokiem więcej i większy wybór, to samo działo się z artykułami przemysłowymi, i tak jak przed rokiem 1956 trudno było kupić np. radioaparat, pralkę, rower itp. wyroby przemysłowe, to po roku 1956 rynek zaczął się nimi nasycać. Szczególnie sytuacja materialna poprawiła się w tych rodzinach, w których pracowało więcej osób, wówczas miało takie gospodarstwo domowe perspektywy odłożenia pewnej kwoty na sprawunki domowe. Jeszcze w lepszej sytuacji znaleźli się ci, którzy mają rodziny na wsi, wówczas otrzymują oni dużo artykułów żywnościowych bezpłatnie – szczególnie dzieci od rodziców – a także w okresie letnim mają dokąd wyjechać lub wysłać swoje dzieci w okresie wakacyjnym.

W ogóle ci mieszkańcy Ziem Odzyskanych, którzy przybyli z centralnych lub wschodnich dzielnic Polski, są w lepszym położeniu materialnym, ponieważ oni przeważnie nic nie stracili z dobytku w czasie wojny i początkowo posiadali jakby dwa gospodarstwa, jedno pozostawione nietknięte w swoim dawniejszym miejscu zamieszkania, drugie to na Ziemiach Odzyskanych i z tego nowego miejsca zamieszkania starali się początkowo wywozić, co tylko dało się wywieźć, i w ten sposób poprawili swoją sytuację materialną do tego stopnia, że wielu z nich ma obecnie byt zapewniony. Natomiast ci mieszkańcy Ziem Odzyskanych, którzy przybyli zza Buga i z Warszawy, znikąd nie mieli i nie mają pomocy, gdyż jedni zostawili swoje domostwa w granicach ZSRR, a ci z Warszawy (a jest ich dość pokaźna liczba we Wrocławiu) zupełnie nic nie mieli i tych sytuacja materialna od pierwszej chwili była gorsza i do tego czasu nie została wyrównana do poziomu pierwszych.

U mnie sytuacja materialna nie przedstawia się pomyślnie, a to dlatego przede wszystkim, że wcześniej tylko ja sam pracowałem i pracuję na utrzymanie rodziny. Moja żona z powodu choroby nerwowej nabytej w czasie oblężenia Warszawy oraz pobytu w obozie niemieckim nie jest zdolna do pracy. Bez przerwy leczy się, co nas kosztuje niemało pieniędzy, a chociaż za lekarstwa płacimy 30%, to i tak miesięcznie wydajemy na nie przeszło 200 zł. Od roku 1958 zarobek mój pozostaje na niezmienionym poziomie, tj. otrzymuję netto 2039 zł. Ponieważ od roku 1958 wszystkie artykuły podrożały – szczególnie żywność – więc w gospodarstwie naszym wiąże się ledwie koniec z końcem. Komorne za mieszkanie płacimy 195 zł miesięcznie, na węgiel i drzewo musimy odłożyć 100 zł miesięcznie, na światło i gaz również 100 zł, na środki piorące przeznaczamy około 100 zł, na lekarstwa wydamy przeciętnie 200 zł, to na życie, ubranie i inne nieprzewidziane wydatki pozostaje nam około 1300 zł. Z tą pozostałą resztą jest nam bardzo trudno przeżyć przez okres miesiąca. Mieszkam obecnie w tym samym mieszkaniu, do którego wprowadziliśmy się w roku 1945. Zajmujemy dwa pokoje z kuchnią. Jeden pokój ma 18 m^2, drugi 8 m^2, kuchnia 10 m^2 oraz takie ciemne pomieszczenie 14 m^2. Mieszkanie nasze znajduje się na I piętrze, jest słoneczne, ale nie posiada łazienki, a ubikacja znajduje się na półpiętrze. Ponieważ oprócz pensji zakładu pracy nie posiadam żadnych innych dochodów, więc nie mogliśmy kupić do mieszkania żadnych nowoczesnych mebli,

a tylko mamy te sprzęty, które nabyliśmy w pierwszym okresie powojennym. Ażeby coś kupić z ubrania lub bielizny, muszę brać pożyczkę w Kasie Zapomogowej, a chociaż jest ją trudno spłacić, ale jak się ją weźmie, to mając od razu większą gotówkę, można coś niezbędnego kupić. Tak kupiliśmy radioaparat, pralkę i odkurzacz.

Z pożycia małżeńskiego mieliśmy dwóch synów, z tych jeden nie żyje, natomiast drugi ukończył Politechnikę i pracuje jako zastępca kierownika warsztatów doświadczalnych Politechniki Warszawskiej przy ul. Narbutta. Ponieważ ma czworo dzieci, a przez to synowa nie pracuje zarobkowo, gdyż musi wychowywać dzieci, więc i u nich sytuacja materialna jest napięta. Jeszcze w latach pięćdziesiątych za te pieniądze, które zarobiłem, było łatwiej żyć, więc wzięliśmy od syna najstarszą dziewczynkę i wychowała się ona u nas do chwili ukończenia we Wrocławiu 5. klasy. Obecnie jest również z nami, uczęszcza na Uniwersytet im. Bolesława Bieruta, przesyłamy jej na utrzymanie 500 zł miesięcznie. W minionych latach jeszcze dlatego nam lżej materialnie, [że] też do roku 1967 dość często otrzymywałem premię miesięczną około 200–300 złotych, chociaż ona nie była regularna, zawsze można było nią zaspokoić nieprzewidziane wydatki, takie jak zakupy na zimę, odnowienie mieszkania, prezenty dla wnucząt i najbliższych z okazji ich imienin czy też gwiazdki, a nawet mieliśmy na opłacenie dzierżawy działki – przeszło 200 rocznie. Ale już od paru lat z różnych powodów pracownicy umysłowi naszej spółdzielni nie otrzymują premii i jesteśmy pozbawieni tego bardzo potrzebnego, dodatkowego dochodu.

Do roku 1965 praca układała mi się dobrze. Byłem poważany i na przeróżnych uroczystościach nagradzany nie tylko pieniężnie, ale również różnymi dyplomami. Zmieniło się to z chwilą przyjścia do pracy nowego prezesa, wokół którego wytworzyła się dobrana klika, która wszystkie lepsze stanowiska rozdzieliła pomiędzy siebie, a ponieważ mają przede wszystkim swoje własne dobro na uwadze, więc do tego już doszło, że spółdzielnia nasza istniejąca przeszło 20 lat i licząca około 500 członków chyli się do upadku, więc wyroby nasze zamiast być lepsze, są znacznie gorsze niż w latach ubiegłych i trudno jest sprzedać je. W magazynach leży dużo niepotrzebnie zakupionego materiału, często z produkcji wychodzi dużo braków oraz gatunku II-go, wszyscy ponosimy straty, a ponieważ często spółdzielnia nie ma środków pieniężnych na wypłatę należności za pracę pracownikom oraz nie może na bieżąco realizować należności za faktury, więc jest zmuszona korzystać z kredytów bankowych, za co płaci duże odsetki, więc często kredyt jest przeterminowany, co podwyższa wydatki i ma ujemny wpływ na sytuację finansową spółdzielni. My, członkowie lękamy się, ażeby nie doszło do niewypłacalności spółdzielni, gdyż nasze oszczędności – wkłady – byłyby zagrożone. Ja mam już przeszło 5 tys. złotych na udziałach oraz przeszło 4 tys. złotych w Kasie Zapomogowej. Są to moje jedyne oszczędności, na które liczę, że mi się przydadzą na starość, gdyż na pewno emerytura – jaką spodziewam się otrzymywać – nie wystarczy na normalne utrzymanie (rodziny) domostwa.

Dopiero w pięćdziesiątym czwartym roku mojego życia zacząłem się dokształcać. Mianowicie: zapisałem się do Liceum Ogólnokształcącego. Początkowo nauka szła mi bardzo trudno – była za duża przerwa w nauce – chciałem z niej zrezygnować, ale że zostałem wybrany starostą klasowym, więc wstydziłem się zawieść

zaufanie tych, którzy mnie wybrali, więc naukę kontynuowałem dalej. Pomału tak się wciągnąłem do niej oraz przyzwyczaiłem do otoczenia, że w następnych latach nigdy już nie powstała u mnie myśl porzucenia nauki. W czerwcu 1964 r. zdałem egzamin maturalny, a za dobre osiągnięcia w nauce otrzymałem w nagrodę książkę z odpowiednią dedykacją. Zaczynało nas klasę ósmą przeszło sześćdziesiąt osób, a z tych doszło do egzaminu maturalnego tylko 28, tak się przez te cztery lata nauki bractwo wykruszyło. Po dwóch latach przerwy w nauce zacząłem uczęszczać do Powiatowej Szkoły Ekonomicznej, którą ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym w roku 1969 i otrzymałem tytuł technika ekonomisty. Na naukę w tych szkołach uczęszczałem bez żadnego uszczerbku w mojej pracy, gdyż pracę kończyłem o godz. 14.30, a nauka zaczynała się przeważnie około godziny 16, a że te szkoły są położone niedaleko mego miejsca zamieszkania, więc po przyjściu z pracy i zjedzeniu obiadu zawsze do szkoły zdążyłem. Poza tym ukończyłem różne kursy, na które wysyłał mnie mój zakład pracy. Na przykład roczny kurs III stopnia BHP, roczny Kurs Ekonomiki Przedsiębiorstw, roczny Kurs Księgowości, Kurs do spraw Rehabilitacji Inwalidów; takie kursy, na których były rozdawane świadectwa ukończenia, gdyż i egzaminów nie było, jak na kurs społecznego inspektora pracy, kurs zużycia materiałów w usługach, kursy zorganizowane dla członków Komisji Ochrony Pracy i kurs powypadkowy. Pomimo tych moich wysiłków dokształcania się, w pracy mojej nie awansowałem ani o jeden stopień, jak miałem funkcję starszego majstra w roku 1958, tak na tym stanowisku jestem do dnia dzisiejszego. W roku 1966 w dziale, w którym pracuję, powołano kierownika, któremu ja podlegam, niepełne wykształcenie podstawowe (6 klas), a że ma wpływy w klice, więc awansował. W okresie gdy jeszcze wszystkie artykuły tak żywnościowe, jak i przemysłowe były tańsze, a różne świadczenia nie podwyższone, często chodziliśmy z żoną do teatru – szczególnie do opery, gdyż lubimy ten rodzaj sztuki, a także przeciętnie raz w miesiącu do kina. Obecnie rozrywki dla nas odpadły, gdyż przede wszystkim musimy tak obliczać wydatki, ażeby wystarczyło nam na życie, ażeby nie popaść w długi, gdyż później nie moglibyśmy ich oddać, dlatego jedyną moją rozrywką jest czytanie książek. Książki wypożyczam w Bibliotece Miejskiej, prenumeruję dla siebie „Politykę", a dla żony „Przyjaciółkę", czytam często „Przekrój", który mi czasami zostawia znajoma z kiosku. Z dzienników czytam stale tylko „Słowo Polskie". Posiadam także około 300 książek, w tym także Wielką Encyklopedię Powszechną. Książki są moim hobby, dość dużo pieniędzy na nie wydałem, oczywiście w tym czasie, gdy książki także były tańsze. Chociaż czytanie książek sprawia mi przyjemność, jednakże niewiele czasu mogę jemu poświęcić, gdyż prawie nigdy nie mam czasu, a to dlatego, że mam dużo pracy społecznej, mianowicie jestem ławnikiem w Sądzie Powiatowym, kuratorem społecznym nad warunkowo zwolnionym z więzienia, która to funkcja zabiera mi bardzo dużo czasu, gdyż mój podopieczny mieszka na Grabiszynku, tj. w dzielnicy oddalonej od miejsca mego zamieszkania o kilka kilometrów – tramwajem muszę jechać przeszło 30 min., a poza tym iść pieszo kawałek drogi, należę do Towarzystwa Miłośników Wrocławia od początku jego założenia, tj. od roku 1957, jestem członkiem Komitetu Sklepowego, którego jestem sekretarzem i muszę pisać comiesięczne protokoły z dyżurów w sklepie, pełnię również funkcję społecznego gospodarza domowego.

Moja praca społeczna w miejscu pracy polega na tym, że jestem Zakładowym Społecznym Inspektorem Pracy, należę do Rady Zakładowej, jestem przewodniczącym Komisji Ochrony Pracy oraz członkiem Komisji Powypadkowej, a także jestem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Kasy Zapomogowej w naszej spółdzielni. Te wszystkie funkcje zabierają mi bardzo dużo czasu, gdyż oprócz czasu zużytego na różne posiedzenia, narady, dyżury, kontrole muszę prawie ze wszystkich tych czynności sporządzać protokoły, a także często opracowywać sprawozdanie, które to czynności są bardzo czasochłonne. Po wszystkich tych obowiązkach znajduję odprężenie nerwów w pracy na działce, którą posiadam w dzielnicy Kowale. Jest ona położona od naszego miejsca za mieszkanie około 5 km. Pieszo trzeba iść 50 minut. Pracowanie sprawia mi przyjemność, chociaż napracuję się często solidnie, jednakże wracając z niej, czuję się bardzo dobrze, głowa mnie nie boli i nerwy mam uspokojone. Ponieważ moja żona nie może nachylać się ze względu na uderzenia do głowy, jakich doznaje, więc cały trud utrzymania działki w porządku spada na moje ręce. Działka ta ma 265 m^2 powierzchni, rośnie na niej kilkanaście drzew owocowych oraz krzewy agrestu, porzeczek, malin, a także pod drzewami truskawki. Większość drzew to drzewa młode, przeze mnie posadzone, które nie weszły jeszcze w pełny okres owocowania, dlatego nie ma z nich dużego dochodu. Warzywa wysiane między drzewami też nie bardzo udają się, gdyż są mocno zacienione, dlatego roczny dochód z działki wynosi około 600 zł. Ponieważ od roku 1966 prowadzę dokładne zapisy wydatków poniesionych przeze mnie na utrzymanie jej oraz wartości zbiorów z niej, więc dochód z działki obliczany jest prawdziwie. Do wydatków nie zaliczam mojej pracy, która wynosi przeszło 300 h rocznie i licząc za godzinę pracy tylko 6 zł, to uprawa jej kosztowałaby 1800 zł. Działka usytuowana jest na wysypisku, grunt po prostu twardnieje i ziemię trzeba często zruszać, a gdy nie ma deszczu, codziennie podlewać. Warzywa i owoce nie mogą dojrzeć, gdyż po ogródkach grasują złodzieje, którzy wszystko potrafią ukraść, czy to będą kwiaty, czy też owoce lub warzywa, a także często niszczą altankę, zwłaszcza w miesiącach zimowych, co stwarza dodatkowy wydatek. Na działkę chodzę przeciętnie w miesiącach letnich 3–4 razy w tygodniu, na jesieni oraz na wiosnę tylko w niedzielę i soboty. Ponieważ dojazd tramwajem jest dla mnie za drogi, gdyż trzeba jechać dwoma tramwajami, więc na działkę zawsze idę pieszo, a dopiero z powrotem jadę tramwajem. Po pracy na działce mam dobry apetyt i sen.

W dzielnicy, w której mieszkamy – okolice Dworca Nadodrze – żadnych nowych budynków nie wznosi się, najwyżej remontuje się stare lub rozbiera nienadające się do remontu, pomimo tego jest ona bardzo zaludniona i gwarna. Niedaleko od nas jest do Odry, a park na placu Staszica obok, dlatego mieszkańcy pobliskich domów mają możność wyjść na świeże powietrze i przy okazji spotkać się ze znajomymi. Mieszkanie koło parku mogłoby sprawić więcej przyjemności, gdyby nie chuliganeria, jaka zbiera się w nim, a ponieważ nie jest on wieczorami oświetlony, więc po zapadnięciu zmroku nie można bezpiecznie przejść się po nim, gdyż często zdarzają się napady na samotnych przechodniów, co umożliwiają krzewy rosnące w parku. Ławki stojące w alejkach przenoszone są na inne miejsca, a często niszczone, najczęściej ustawiane są w zaroślach, gdzie odbywa się gra w karty i picie piwa, a chociaż

posterunek MO mieści się przy ul. Rydygiera, tj. w sąsiedztwie parku, milicja mało zwraca uwagi na wybryki chuliganerii.

Picie, a raczej „trąbienie" piwa, to obecnie jest bardzo dziwny problem. Przed wojną też ludzie pili piwo, lecz nie w taki sposób. Mieszkałem przed wojną w Warszawie, czyli w dużym skupisku ludzkim, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś pił na ulicy piwo z butelki. W kioskach najczęściej do napicia się sprzedawano np. smaczny kwas chlebowy lub inny tani napój, a gdy ktoś pił piwo, to czynił to jakby, można powiedzieć, więcej kulturalnie i z umiarem. Piwo podawano przeważnie w długich szklankach o cienkim szkle, gdyż podobno tak podane piwo ma lepszy smak. A obecnie to stoi w takiej pijalni piwa czy przed nią gromada osobników, a między nimi znajduje się bardzo duży procent tych, którzy wyszli z pracy, co można poznać po ich ubiorze, i piją piwo cały dzień, a kiedy pracują? a jak pracują i jak wygląda ich praca? W naszym domu kilka lat temu przeprowadzono remont czwartego i piątego piętra, więc mieszkańcy niższych pięter nie wyprowadzili się, więc miałam okazję zaobserwować pracę naszych budowlanych. Przeważnie już od samego rana pracownicy ci zbierali się obok wejścia do piwnicy i już raczyli się piwem lub winem. Z nabyciem tych napoi nie mieli kłopotu, gdyż w tym domu, co był wyremontowany, mieścił się sklep spożywczy otwarty już od godziny 6 rano, więc przed rozpoczęciem pracy dla dodania sobie animuszu pili. Więc czy taki robotnik, który z rana zalał sobie „pałę", może wydatnie i dobrze pracować? I skąd na to picie mają oni pieniądze? Pieniądze na to pijaństwo zdobywają najczęściej ze sprzedaży materiałów budowlanych, których nie można kupić w sklepie, więc potrzebujący ten materiał często z niechęcią, ale kupuje od pracowników budowy cement, gips, lepik do smarowania papy, a nawet odpowiednie wyroby z drzewa, i nie może często się tym transakcjom dziwić, bo jak ktoś potrzebuje np. trochę cementu, to może schodzić cały Wrocław i nie dostanie w sklepie, więc zmuszony jest wbrew swojemu sumieniu kupić ten materiał ze źródła nielegalnego. A czy nie lepiej by było, gdyby takie bardzo często potrzebne w gospodarstwie domowym artykuły można nabyć legalnie w sklepie?

Oprócz pijaństwa pleni się obecnie w naszym społeczeństwie łapownictwo, jeśli chcecie coś załatwić prędko i pomyślnie, to trzeba „przemówić do ręki", czyli dać pewną kwotę w zależności od wagi sprawy, a wynik będzie na pewno pomyślny, np. jedzie się koleją, a przy przeładowanych wagonach ktoś chce jechać jak człowiek, chce mieć miejsce siedzące, koniecznie musi być kilkanaście złotych dla konduktora, który umieści w przedziale specjalnie zarezerwowanym na ten cel; chcecie kupić w kiosku jakiś poczytny tygodnik, np. „Przekrój", trzeba za to zapłacić drożej, pójdziecie do lekarza w ubezpieczalni – lepsze badanie wymaga zadośćuczynienia, ale wręcz opanowało łapownictwo w postaci prezentów nasze nauczycielstwo, okazji jest dużo, a to początek roku szkolnego, a to znów koniec roku, a to święto kobiet, to znów święto nauczyciela, do tego dochodzą jeszcze imieniny lub urodziny, które również wymagają jakiegoś wyróżnienia. No, i co się dzieje? Rodzice dziecka w różny sposób wynagradzają tę opiekę – za którą już płaci państwo – o sposobach tych lepiej nie pisać, choć wróble o nich ćwierkają. Tuż przed wojną chodziłem do szkoły, a później posłałem dzieci, ale nigdy żadnych prezentów i upominków nie dawałem nauczycielom, lecz za ich pracę byli oni otaczani należytym szacunkiem. A obecnie?

Po roku 1956 zostały powołane tzw. Komitety Blokowe, które miały być przedstawicielstwem danego bloku mieszkalnego. Komitety te miały organizować życie kulturalne najbliższego otoczenia oraz mieć wgląd na potrzeby ludzi samotnych. W naszym rejonie też powołano odgórnie taki komitet, lecz nie wykazuje on żadnej inicjatywy. Czasami zbierają się ci panowie, trochę poplotkują i rozejdą się, szkoda tylko tego pomieszczenia, które zajmują, lepiej by przydzielili go jakiejś potrzebującej rodzinie. Na zebraniu, które ze dwa razy do roku zwołują, to przeważnie sami przychodzą i sami się wybierają, gdyż mieszkańcy prawie wcale nie interesują się ich działalnością, widząc ich nikłe rezultaty.

W domu, w którym mieszkamy, jest trzydziestu lokatorów. Przeważnie ci, co mieszkają na wyższych piętrach, często się zmieniają, dlatego nie znam niektórych. Natomiast na tym piętrze, na którym mieszkam, znajdują się cztery mieszkania, trzy mieszkania zajmujemy my, lokatorzy, już od roku 1945, w czwartym mieszkaniu mieszka rodzina, która też sprowadziła się dość dawno, bo jeszcze w roku 1956. Wszyscy mieszkający na tym piętrze żyjemy w przykładnej zgodzie, zwłaszcza z rodziną państwa Romanów. Chociaż nasze rodziny pochodzą z różnych dzielnic Polski, jednakże tak zżyliśmy się z sobą, że nam jest razem bardzo dobrze. Szczególnie małżeństwo Lipeccy są bardzo życzliwi i zawsze spieszą z pomocą w razie jakiegoś nieszczęścia. U państwa Romanów podawałam do chrztu ich córkę i bardzo z nimi przyjaźnimy się. Z pozostałymi mieszkańcami naszego domu – naturalnie z tymi, których znamy – rozmawiamy, wyświadczamy sobie wzajemnie różne przysługi, lecz bliżej nie kontaktujemy się. Przeważnie wszyscy mnie pozdrawiają, ale ponieważ mam krótki wzrok, często nie wiem, kto to jest i w którym mieszkaniu mieszka. Mieszkańcy wyższych pięter czasami miewają między sobą jakieś sprzeczki, szczególnie kobiety mają niekiedy do siebie pretensje, ale dotychczas do zatargów między sprzeczającymi się nie doszło. My, tj. moja żona i ja, do tego czasu nigdy i z nikim nie kłóciliśmy się. Również gdyśmy mieszkali w Warszawie, ze wszystkimi sąsiadami żyliśmy w zgodzie. Tak jak teraz mieszkańcy naszego domu [...] są znośni, to młodsze pokolenie sprawia wszystkim wiele trudności, młodzież, a nawet dzieci okropnie wszystko niszczą. W okresie jak mieszkam w tym domu, już dwa razy odnawiano klatkę schodową, dozorczyni sprząta codziennie (oprócz niedziel) podwórko i schody, ale nasi milusińscy potrafią tak prędko wszystko zniszczyć i pobrudzić, że aż dziw bierze, skąd taka pasja niszczenia bierze się wśród bezbronnych i niewinnie wyglądających istot. W ubiegłym roku – za moim staraniem – zrobiono piaskownice dla dzieci, gdyż podwórko jest duże, a dzieci sporo – to ta piaskownica w przeciągu paru tygodni została zupełnie rozebrana.

Administracja zrobiła murowane pomieszczenie na pojemniki od śmieci, to do tego czasu już dwie strony tego pomieszczenia rozwalono, w tym roku po raz drugi wymurowano piaskownicę i nawieziono piasku, to po paru tygodniach już nie pozostało po niej ani śladu. Corocznie administracja wstawia szyby do okien. Na klatce schodowej zawsze pociechy naszych sąsiadów powybijają je. Wszędzie światło jest na porządku dziennym. Administracja budynku założyła światło w piwnicy, popsuto je, a żarówki powykręcano, ściany klatki schodowej są poplamione i podziurawione, na schodach znajdują się śmieci i piasek przynoszony przez dzieci,

ci lokatorzy, którzy już nie mają dzieci małych na zaśmiecanie domu nie reagują, nie chcąc się narażać mamusiom i ich językom. Gdy mi rozbito drzwi do piwnicy – zameldowałem o tym w MO, gdzie zapytano mnie się, kto to zrobił, a ponieważ nie widziałem, to na tym pozostało. Tłumaczy się taką małą operatywność milicji brakiem ludzi. W ogóle w obecnym czasie prawie każda instytucja i przedsiębiorstwo narzeka na brak pracowników – budowlani nie wykonują planów z braku robotników, na poczcie trzeba czekać w długich kolejkach, bo nie ma dostatecznego personelu, sklepy często są zamykane z powodu nieznalezienia obsługi do sklepu, nawet w PKO – dokąd ludzie niosą pieniądze – tworzą się tasiemcowe kolejki, gdyż stale co najmniej połowa okienek jest zamkniętych i tak się dzieje prawie wszędzie. Lecz gdyby tak była dobra organizacja pracy i tych ludzi, którzy urzędują na zapleczu tych różnych okienek skierować do bezpośredniego załatwienia interesantów, na pewno by zostały zlikwidowane kolejki, praca wszędzie szłaby lepiej. Dobrze, że obecnie każdy, kto ma zdolności i chęci do nauki, może uczyć się, lecz jednocześnie jest to niedobrze, że duży procent młodzieży nie dlatego chce zdobywać wiedzę, iż coś ją pociąga do nauki, lecz przede wszystkim dlatego, ażeby zdobyć tytuł i mieć lepsze warunki materialne.

W różnych klubach, towarzystwach, związkach oraz na wielu zebraniach kwitnie tytułomania i tak jak za czasów nieboszczki Austrii było bez liku radców, tak obecnie w większym gronie towarzyskim słyszy się bez przerwy – panie magistrze, panie docencie, redaktorze lub tym podobne tytuły. I ci są przeważnie wybierani do różnych zarządów czy też komisji. Gdy odczytywany zostaje skład tych władz, a przed wieloma nazwiskami ich tytuły, to tym nielicznym wybranym, którzy nie mają tytułu, a są odczytywani, robi się „wstyd", że oni są tak nic nieznaczący. Więc czy nie demokratyczniej byłoby przy podawaniu nazwisk w takich okolicznościach nie wymieniać tych tytułów? To samo dzieje się przy wyczytywaniu nazwisk. Czy nie można by np. podawać do wiadomości, że np. prezesem komisji takiej a takiej został wybrany obywatel X, jego zastępcą ob. J. itp.? Często narzekamy wszyscy na niemożność kupienia jakiejś małej rzeczy, niedrogiej, lecz niezbędnej w życiu codziennym, a nie zastanawiamy się nad tym, że po prostu nie ma komu danej rzeczy wytworzyć, bo przemysł drobnym artykułem nie może się zajmować, a rzemiosło poprzednimi różnymi szykanami zostało prawie zniszczone. Do tego nie ma zupełnie chętnych do nauki rzemiosła i na pewno gdy będzie dalej tak lekceważone i uważane za piąte koło u wozu, to w tej dziedzinie nic się nie poprawi na lepsze. Przecież niektóre zawody zupełnie wymierają i to dosłownie, gdyż starsi rzemieślnicy stają się niezdolni do pracy, do wykonywania danego zawodu. A młodzież pociąga praca w większych jednostkach gospodarczych, gdyż tam mają większe przywileje i sama praca nie jest tak odpowiedzialna, zawsze można odpowiedzialność zrzucić na kogoś innego, gdy coś się sfuszeruje.

Inaczej przedstawia się sprawa w rzemiośle. Rzemieślnik, gdy pracuje, to przeważnie wykonuje powierzoną sztukę od początku aż do zupełnego zakończenia, czasami powierzając pracę mniej odpowiedzialną robotnikowi o mniejszym doświadczeniu, wykonane w ten sposób dzieło ma pewien smak oraz trwałość. Inaczej wypada wykonanie tej sztuki, jeżeli wykonuje ją paru pracowników i każdy z nich

zainteresowany jest, ażeby tylko jego odcinek pracy był wykonany zgodnie z normą, wówczas ten pracownik wykańczający przyjmuje ten wyrób często nieestetyczny i z brakami, ponieważ kontrola techniczna nie wszystkie wady zdolna jest wykryć, stąd mamy na rynku taką masę bubli i materiałów niechodliwych. Dużą bolączka rzemiosła jest i to, że nie ma ono odpowiednich lokali, bo rady narodowe przeważnie nie przydzielają rzemieślnikom potrzebnych pomieszczeń, a bardzo często rzemieślnik, który nawet miałby chęć pracować samodzielnie, nie ma odpowiednich funduszy na założenie warsztatu, a znikąd nie ma pomocy.

Dziwimy się my starsi, że młodzież nie ma żadnych ideałów, jest rozwydrzona. Myślę, że jest to wpływ różnych czynników, przede wszystkim tego, że zaraz w pierwszych latach powojennych starano się wszczepić w młodzież przekonanie, że zawdzięczamy wszystko władzom, a rodziców spychano do [roli] zwykłych manekinów, rodzice mieli tylko obowiązek. A dziecko mogło nawet skarżyć się na nich w różnych instytucjach, np. w redakcjach pism itp. Następnym czynnikiem źle wpływającym na wychowanie młodzieży jest wpływ życia młodzieży zagranicznej, gdzie rozwiązłość osiągnęła szczyt, jest tolerowana – np. w Szwecji, w Holandii, w Danii – młodzież nasza widzi to na różnych filmach, w telewizji, a co nie widzi, to sobie dopowie wyobraźnią i ma ona gotowy model do naśladowania. Nasze pisma, szczególnie niektóre tygodniki, mają niemały wkład w propagowaniu rozwiązłości i tzw. seksu. Bo czy to jest dobre, że w pismach łatwo dostępnych dla dzieci i młodzieży proponuje się środki zapobiegające ciąży? Czy różne globulki powinny być w kioskach „Ruchu" na wystawie i dostępne w sprzedaży nie tylko dla młodzieży, ale i dzieci mogą je nabywać. Gdy byłem młodzianem i uczyłem się zawodu, to miałam tak czas zajęty, że tylko w niedzielę i święta miałem wolne chwile, który mogłam poświęcić na jakąś godziwą rozrywkę, i to było dobre, gdyż w tym wieku młody człowiek powinien uczyć się pracować, a nie nudzić się, nie wiedząc, co zrobić z wolnym czasem. Ja zbliżam się do kresu wędrówki życia, a mam czas tak zawsze wypełniony różnymi obowiązkami, że żona często mówi: usiadłbyś sobie i odpoczął, ale nigdy nie mogę skorzystać z tej rady, nawet gdy jestem na działce, gdyż i tam zawsze jest coś do zrobienia, a to podlać rośliny, gdy jest sucho, a to wyrwać chwasty lub coś poprawić, tak że zawsze znajdzie się jakaś robota, której nie można odłożyć.

W życiu swojej rodziny i we własnym, nie planujemy chwilowo żadnych zmian, a to dlatego, gdyż sytuacja nasza, tj. mojego syna i moja, jest możliwie ustabilizowana. Nie zarabiamy dużo, więc nic nie możemy za dużo wydać, ot, starczy na niezbędne wydatki, jakoś się żyje. Syn nasz mieszka w Warszawie, a jak nadmieniłem poprzednio – pracuje na Politechnice Warszawskiej w zakładach szkoleniowo-doświadczalnych. Mieszka w nowo wybudowanym domu i zajmuje dwa pokoje z kuchnią przy ul. Dubois 12 m 31. Pracuje sam, gdyż synowa nie pracuje zawodowo, ponieważ ma dużo roboty w domu. Posiadają czworo dzieci, trzy dziewczynki i jednego chłopca. Najstarsza dziewczynka jest z nami i uczęszcza na uniwersytet. Druga wnuczka chodzi do drugiej klasy technikum medycznego, wnuczek uczy się w szkole zawodowej, a najmłodsza wnuczka kończy szkołę podstawową, dlatego obecnie cały wysiłek ludzi dorosłych koncentruje się na tym, ażeby należycie tę dzieciarnię wychować na dobrych ludzi. Ponieważ już w przyszłym roku osiągnę

wiek emerytalny, więc w naszym położeniu nie możemy sobie pozwolić na żadną zmianę w życiu, [wszystko] zależy od nas samych, chyba że los inaczej wszystko pokręci. Widzę życie wielu emerytów i rencistów i obserwuję, jak większości z nich jest bardzo trudno żyć z powodu ciężkich warunków materialnych, dlatego z niepokojem czekam tej chwili – gdy dożyję – że będziemy musieli żyć w jeszcze gorszych warunkach materialnych, przy wzrastających cenach. Piszę o niedostatku, gdyż widzimy wszyscy, że renta czy emerytura jest pewnym procentem wynagrodzenia i ustala się ją na stałe, natomiast tak artykuły przemysłowe, jak żywnościowe corocznie stopniowo drożeją, a tym samym za pieniądze otrzymane z ZUS-u nie można tych artykułów kupić, więc w końcowym wyniku byt starszego człowieka żyjącego z niezmiennej renty lub emerytury pogarsza się. Jeszcze w tej rodzinie, gdzie obydwoje małżonkowie otrzymują rentę, nawet najniższą, to jest 850 zł miesięcznie, to w sumie mają 1700 zł, czyli skromnie mogą jakoś egzystować, ale gdy sam tylko pracowałem zarobkowo, więc moja emerytura wyniesie około 1400 zł miesięcznie, z tej kwoty będzie nam trudno wyżyć (gdy będziemy żyć). Ale ponieważ nie ma potrzeby martwić się, więc dopóki jeszcze pracuję i cieszę się jakim takim zdrowiem, to nie myślę, że będzie gorzej, lecz mam nadzieję, że zawsze jakoś sobie będę radził.
[...]

Dziś wstałem znacznie później, bo dopiero o godz. 7. Po normalnej toalecie porannej poszedłem do kościoła na godzinę 9. Po przyjściu z kościoła zastałem w domu miłego gościa, a był nim mój kolega z Warszawy Stanisław Grudzień. Jest to jedyny przyjaciel, z którym żyjemy w przyjaźni od roku 1924, jesteśmy jednocześnie kumami, gdyż podawał on do chrztu mojego syna, a ja u niego jego córkę. Gdy zjedliśmy śniadanie, poszliśmy zwiedzić Stare Miasto, byliśmy także na wieży widokowej kościoła św. Elżbiety, skąd rozpościera się piękny widok na panoramę Wrocławia. Gdy powróciliśmy zmęczeni, z apetytem zjedliśmy obiad, do którego mieliśmy butelkę wina. Wieczorem pożegnaliśmy się i on poszedł do pociągu. Na tę gościnę wydaliśmy niespodziewanie kilkadziesiąt złotych. I tak często się zdarza, że zawsze trzeba wygrać w miesiącu nadprogramowo trochę pieniędzy. Dziś prasa podała, [że] wystartował w kierunku Srebrnego Globu pojazd kosmiczny „Apollo-13". Ciekawe, czy też szczęśliwie doleci do zamierzonego celu. Z powodu gościa jakiego mieliśmy, zupełnie nie wypocząłem, gdyż nie wypadało podczas jego pobytu trochę się położyć i zdrzemnąć, a także z tego powodu poszliśmy spać już o godzinie 23.
[...]

Gdy przyszedłem z piwnicy, wysłuchałem komunikatu radiowego o locie statku kosmicznego. Ponieważ nie mamy telewizora, zadowalamy się audycjami nadawanymi przez radio. Gdy zabierałem się do czytania książki, po godzinie dziewiętnastej przyszli do nas niespodziewani goście, a mianowicie dwaj uczniowie z Technikum Elektrycznego mieszczącego się przy ul. Hauke-Bosaka[13]. Ponieważ w tym budynku, gdzie obecnie mieści się szkoła, za czasów niemieckich mieścił się obóz pracy dla obcokrajowców, uczniowie tej szkoły zbierają wspomnienia byłych więźniów tego

13 W oryginale: Bosak-Haukego (przyp. red.).

obozu, a że my, to jest moja żona, nasz syn, byliśmy wywiezieni w czasie Powstania Warszawskiego do Niemiec na roboty przymusowe, znajdowaliśmy się okresowo w tym obozie, więc dlatego ci uczniowie przyszli do nas, żebyśmy podzielili się swoimi wspomnieniami z okresu pobytu w czasie oblężenia Wrocławia w tym obozie. Pogawędka z nim trwała przeszło dwie godziny, gdy od nas wyszli, dochodziła już prawie godz. 22. Byli to bardzo mili młodzieńcy z ciekawością słuchali i notowali wspomnienia opowiadane przez nas. Przez tę pogawędkę dziś znów poszliśmy spać dość późno, bo około godziny 23.

[...]

Przed godziną osiemnastą poszedłem do sklepu spożywczego, mieszczącego się w tym domu, gdzie mieszkamy, ażeby wziąć udział w zebraniu członków Komitetu Sklepowego. Zebranie członkowskie odbywa się raz na miesiąc. Z zebrań tych piszę protokoły – gdyż jestem sekretarzem Komitetu Sklepowego – które odnosi kierownik sklepu do dyrekcji Spółdzielni. Poza tym każdy z członków komitetu pełni kolejno codzienne [dyżury] w godzinie dla niego najdogodniejszej. Zebranie zakończyło się około godz. 20. Po przyjściu do domu nastawiłem radio, z którego dowiedziałem się, że na statku kosmicznym „Apollo-13" coś się popsuło i prawdopodobnie będzie skierowany ku Ziemi. Oby tylko szczęśliwie powrócili na Ziemię.

[...]

Dziś wstałem wyjątkowo wcześnie, bo już o godz. 4-tej, a to dla tego, że chciałem dostać w Ośrodku Zdrowia numerek dla siebie do lekarza internisty, dla żony do lekarza okulisty. Gdy przyszedłem do Ośrodka, to już w kolejce do internisty byłem trzynasty, a w kolejce do lekarza okulisty dziewiąty, bo chcąc dostać się do lekarzy w naszym Ośrodku, trzeba koniecznie rano wstać, gdyż gdy się przyjdzie późno, to często zabraknie numerków. U lekarza dowiedziałem się, że mam duże nadciśnienie tętnicze, a mianowicie 130/180. Takie nadciśnienie mam już od kilku miesięcy, dlatego biorą różne proszki, takie jak „Clofibrat", „Ranpasil" i inne, ale zażywanie tych proszków mało mi pomaga i nadciśnienie nie zmniejsza się. Okulistka, u której była moja żona, powiedziała jej, że zaćma zaszła już na całe prawe oko, ale nie można chwilowo go operować, gdyż żona chora jest na epilepsję i zachodzi obawa, że w okresie pooperacyjnym może dostać atak i wówczas postrada na pewno oko. Drugie oko jest chwilowo zdrowe. U lekarza okulisty byłem razem z żoną, gdyż godziny przyjęcia są [od] 15 do 19. Dzisiejsza prasa przyniosła wiadomość, że astronauci przeżyli dramatyczne chwile, gdyż gdyby statek pozostał na torze, w którym się znajdował po przeleceniu nad Księżycem na wysokości około 250 km, rozminąłby się z Ziemią o przeszło 30 tys. km i nigdy na nią nie powróciłby. Uczonym w amerykańskim udało się dokonać takiej korektury lotu, że „Apollo-13" ponownie wszedł na orbitę wokółziemską. W pracy wszyscy mówili tylko o tym zdarzeniu ze statkiem kosmicznym i naprawdę przeżywali wspólnie z astronautami te tragiczne chwile.

[...]

Z powodu niedostatecznego zaopatrzenia spółdzielnia nasza nie może wykonać planu produkcyjnego, a przez to my, pracownicy umysłowi, już od kilku miesięcy nie otrzymujemy premii, stąd zarobki nasze zmniejszają się automatycznie, ponieważ w tym czasie wiele artykułów drożeje, chociaż nieoficjalnie, lecz za pomocą

takich posunięć, jak zamiana nazwy artykułu przemysłowego – szczególnie ma to miejsce w wytworach chemicznych – lub przez zmniejszenie wagi artykułu, a pozostawienie tej samej ceny – co się praktykuje z pieczywem – np. przed poprzednią ważył 1 kg i kosztował 4 zł, a obecnie waży 80 dk i także kosztuje 4 zł. Po przyjściu do domu zjedliśmy bardzo skromny obiad, gdyż moja żona nie mogła kupić nowego tańszego gatunku mięsa, pomimo że stała w kolejce około trzech godzin. Obecnie w sklepach mięsnych jest bardzo dużo drogich [wędlin] takich jak, np. kabanosy po 120 zł za kilo, a przecież nie wszyscy mogą sobie na taki luksus pozwolić. Te kolejki po produkty spożywcze są prawdziwą plagą dla gospodyń domowych, tracą one bardzo wiele czasu, stojąc w nich i przeważnie zmuszone są do kupna tego, co jest, a nie tego, co potrzebują, przez co również wzrasta wydatek niepotrzebnie. Chcąc wiedzieć lepiej o stanie oka mojej żony, postanowiliśmy udać się jeszcze do specjalisty – okulisty prywatnie. Już trzy dni naprzód zamówiliśmy u niego wizytę, więc po obiedzie pojechaliśmy do niego. Po zbadaniu mojej żony potwierdził to, iż oko prawe jest żywe, lecz na niego żona nie widzi, i skierował żonę na różne badania dodatkowe. A przecież te badania to na pewno mogą być wykonane w szpitalu przed operacją. Bo gdy obecnie moja żona słabo widzi, to gdzie ona będzie chodzić po różnych ośrodkach, często odległych od siebie, przecież to jest niebezpieczne dla niej. A ja, pracując, nie mogę często zwalniać się z pracy, ażeby ją prowadzać. Za wizytę zapłaciliśmy 150 zł. W dniu tym w czasie naszej bytności u lekarza było dziesięciu pacjentów, gdy każdy zapłacił za wizytę 150 zł, to ładny dochód dodatkowy ma taki lekarz. Może żyć dobrze w socjalizmie. Prasa dzisiejsza podaje, że statek „Apollo-13" mknie w kierunku Ziemi. Z różnych krajów nadchodzą wiadomości o przyjściu z pomocą załodze „Apollo". W Chorzowie odbył się mecz piłkarski pomiędzy Górnikiem Zabrze a AS Roma o Puchar Zdobywców Pucharów, mecz oglądało 110 tys. widzów, po dramatycznym pojedynku mecz został nierozstrzygnięty w stosunku 2:2. Tak więc musi być rozegrany dodatkowy trzeci pojedynek między obiema drużynami, gdyż poprzedni mecz rozegrany przez nie również był remisowy. Do snu poszliśmy w czasie normalnym, tj. o godz. 22.

[...]

Ponieważ jestem ławnikiem w Sądzie Powiatowym, dlatego dziś nie poszedłem do pracy gdyż od razu udałem się do Sądu, chociaż sprawy sądowe zaczną się o godz. 9, to już należy być wcześniej w sekretariacie Sądu, ażeby otrzymać przydział spraw i zapoznać się z nimi. Zostałem przydzielony do sali rozpraw nr 503, w której odbywają się sprawy alimentacyjne i rozwodowe. W dniu dzisiejszym było na wokandzie 11 spraw, w tym było dwie sprawy o ustalenie ojcostwa, trzy rozwiązywanie małżeństw, a reszta alimentacyjne. Sprawy sądziła kobieta w towarzystwie dwóch ławników. Sędzia ta jest bardzo człowiekiem wyrozumiałym i obiektywnym, każdą sprawę rozpatruje z wielką skrupulatnością, stąd zapadły tylko cztery wyroki, a pozostałe sprawy z różnych przyczyn zostały odroczone. Do domu przyszedłem o godzinie 16 i po spożyciu obiadu poszedłem do Towarzystwa Miłośników Wrocławia, gdzie mieliśmy zebranie w sekcji ludzi spod znaku „P". Jest to sekcja, do której należą ci, którzy w czasie wojny przybywali w Niemczech i byli zmuszeni nosić na wierzchu klapy marynarki specjalny znak „P", który odróżniał nas, Polaków

od innych narodowości. W zbiorowisku ludzkim, jakim były Niemcy hitlerowskie, jedynie Polacy i Żydzi nosili odznaki specjalne, które by ich poniżały, a jednocześnie żeby można było ich łatwo odróżnić od innych narodowości. Znak ten, który miał za cel nas poniżać, nosimy teraz z dumą, gdyż potrafiliśmy wytrwać, choć w poniżeniu, a nasi ciemiężyciele marnie skończyli. W dzienniku wieczornym podano, że dziś o godz. 19.07 nastąpiło szczęśliwe wodowanie statku kosmicznego „Apollo-13" na Oceanie Spokojnym między archipelagiem Samoa a Nową Zelandią. Bardzo się wszyscy ucieszyliśmy z pomyślnie zakończonego, tak tragicznie przeżywanego lotu. To byłyby krótkie moje wspomnienia, a choć napisane nieudolnie, są jednak prawdziwe i napisane szczerze.

Bibliografia

Kowalski K., *Plan Marshalla. Uwarunkowania i skutki gospodarczo-polityczne*, Łódź 2014

Kubis B.K., *Wstęp*, [w:] *Losy Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich II RP (1944–1945)*, red. B.K. Kubis, Warszawa 2011

Kwilecki A., *Z pogranicza socjologii i historii. Elementy warsztatu badawczego*, Poznań 2016

Lech H., *Zatrzymane w pamięci*, [w:] *Losy Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich II RP (1944–1945)*, red. B. Kubis, Warszawa 2011

Lisiecki S., Kubera J., *Podpatrywanie miasta. Miasto w socjologii poznańskiej 1920–2000*, Poznań 2016

Lutyński J., *Nauka i polskie problemy. Komentarz socjologa,* Warszawa 1990

Osękowski C., *Specyfika „Ziem Odzyskanych" po II wojnie światowej. Analiza problemu*, [w:] *„Ziemie Odzyskane" po drugiej wojnie światowej*, red. C. Osękowski, G. Strauchold, Zielona Góra 2015

Pamiętniki osadników ziem odzyskanych, red. Z. Dulczewski, A. Kwilecki, Poznań 1963

Strauchold G., *Jak „Szwaby" (tzw. autochtoni) i „Ukraińcy" (tzw. repatrianci) układali niespodziewanie wspólne życie na byłych niemieckich ziemiach wschodnich od 1945 roku*, [w:] *Bezdomna Europa. Migracje po II wojnie światowej we współczesnych badaniach humanistów*, red. B. Kromolicka, H. Walczak, Szczecin 2016, s. 69–80

Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1945–1956, red. E. Wojcieszyk, Poznań 2012

ROCZNIK
ZIEM
ZACHODNICH

Jakub Isański

Wincenty Kuć „Pamiętnik”

Streszczenie: Pamiętnik przedwojennego szewca, którego powojenne losy rzuciły z Warszawy do Wrocławia. Autor wspomnień jest człowiekiem bardzo zaangażowanym w życie społeczne, a jego opis zawiera wiele szczegółów ilustrujących życie społeczne od pierwszych lat po wojnie aż do lat 70. XX w. Mimo swoich przedwojennych lewicowych poglądów, autor krytycznie ocenia powojenną polską rzeczywistość – od pierwszych dni swojego osiedlenia się we Wrocławiu, aż do ogólnych warunków życia społecznego lat 70. Pamiętnik zawiera sporo ciekawych informacji o życiu społecznym tamtych czasów.

Wincenty Kuć, „Diary”

Abstract: The diary of a pre-war tailor forced to move post-war from Warsaw to Wrocław. The diarist is a person who was extremely engaged in community life and thus his description contains many details illustrating community life from the first years after the war until the 1970s. Despite his pre-war leftist leanings, the author critically evaluates the post-war reality of Poland – from the first days of his settlement in Wrocław to the general conditions affecting community life in the 1970s. The diary contains a multitude of interesting information about community life in those times.

Słowa kluczowe: powojenne osadnictwo na Ziemiach Zachodnich, osadnictwo we Wrocławiu, życie społeczne w powojennym Wrocławiu

Key words: post-war settlement in the Western Territories, settlement of Wrocław, community life in post-war Wrocław